WIDNOKRĄG

50 (752)
13 grudnia 1983 r.
RZESZÓW

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

DZIŚ W NUMERZE:

- O programie działania rzeszowskiego Oddziału nowego Związku Literatów Polskich, ze Zbigniewem Krempfem, prezesem Zarządu Oddziału, rozmawia Jan Grygiel
- O dobrej pracy kulturalnych placówek osiedlowych w Sanoku pisze Mieczysława Teodorczyk
- O nowych zadaniach Towarzystwa Rzeszowskiego Ośrodka Akademickiego
- „Trybuna nauczycielska" o specjalizacji nauczycieli. Stałe felietony
- O Szarych Szeregach w Mielcu
- Wiadomości samowolne
- List do przyjaciela
- Balanse i niuanse

Z teki grafiki Józefa Cempli wydanej przez KAW w Rzeszowie: Przemyśl — fragment Rynku.

K. I. Gałczyński

W leśniczówce

Tu, gdzie się gwiazdy zbiegły
w taką kapelę dużą,
domek z czerwonej cegły
rumieni się na wzgórzu:
to leśniczówka Pranie,
nasze jesienne mieszkanie.

Chmiel na rogach jelenich
usechł już i się sypie;
w szybach tyle jesieni,
w jesieni tyle skrzypiec,
a w skrzypcach, byle tknięte,
lament gada z lamentem.

Za oknem las i pole,
las — rozmowa sosnowa;
minął dzień i na stole
stoi lampa naftowa,
gadatliwa, promienna
jak ze stołu Szopena.

W nocy tu tyle nuceń
i śpiewań, aż do rana.
Księżyc w srebrnej peruce
gra jak Bach na organach
i płynie koncert wielki
przez dęby i przez świerki —
to leśniczówka Pranie:
nocne koncertowanie.

Chodzi wiatr nad jeziorem,
trąca dęby i graby;
i znów wieczór wieczorem
znów zaświecamy lampy
o, leśniczówko Pranie:
lamp lśnienie, migotanie,
księżyc na każdej ścianie,
nocne muzykowanie.

Sunie dorożka nocy
w skos, dziecinnym rysunkiem;
konik stąpa z frasunkiem,
cień od ściany do ściany;
wehikuł posrebrzany;
o, leśniczówko Pranie,
nocne podróżowanie.

Gwiazdy jak śnieg się sypią,
do leśniczówki wchodzą
każdą okienną szybą,
każdą wrześniową nocą;
w twoim małym lusterku
noc świeci gwiazdą wielką.

W dniu 6 grudnia br. minęła 30 rocznica śmierci wybitnego poety polskiego Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

STALOWA WOLA
– to najpiękniejszy okres w mojej działalności inżynierskiej...
(Rozmowa z profesorem JANUSZEM TYMOWSKIM)

— Jest Pan Profesor wybitnym uczonym, jedynym byłym pracownikiem „Stalowej Woli", który trafił do encyklopedii.

— Nie uważam, siebie za uczonego, lecz pracownika nauki. W moim pojęciu uczony to coś więcej, uczonemu stawiam wyższe wymagania. Ja natomiast czuję się ciągle także przemysłowcem. Zresztą sam wysoko cenię ludzi przemysłu — na przykład inżynierów Zdzisława Malickiego czy Tadeusza Skrzata ze Stalowej Woli. Być może i sam czynnie do tego czasu pracowałbym w przemyśle, ale w połowie lat pięćdziesiątych miałem akurat odmienne zdanie na pewne posunięcia szefa naszego resortu i przestałem być dyrektorem technicznym „Ursusa", a zostałem już wyłącznie profesorem Politechniki Warszawskiej...

— Na okładce książki Janusza Tymowskiego „Problemy kadr wysoko kwalifikowanych", wydanej przez Ossolineum, znajduje się krótka biografia autora, z której wynika, że jest emerytowanym profesorem zwyczajnym Politechniki Warszawskiej, byłym jej prorektorem. Ta rozmowa odbywa się w Instytucji Technologii Mechanicznej PW, Pan Profesor był łaskaw przerwać swoje pilne zajęcia.

— Czy pilne? Ot, czytałem prace doktorantów i z przyjemnością się oderwałem, aby powspominać głównie o Stalowej Woli, jak tego życzyliście sobie telefonicznie. Istotnie jestem emerytem, skończyłem wszak 80 rok życia niespełna dwa lata temu. Reprezentuję jednak przedwojenną szkołę solidnej roboty, a poza tym w tym kraju musi ktoś jeszcze pracować, jeżeli tylu ludzi w sile wieku zachęciło się do odpoczynku.

— Działa Pan Profesor w wielu organizacjach. Jest Pan członkiem Prezydium Komitetu „Polska 2000", honorowym prezesem Naczelnej Organizacji Technicznej, członkiem komitetów — Budowy Maszyn oraz Kierownictwa i Organizacji PAN, działa Pan w kilku radach naukowo-technicznych przy instytutach badawczych, jest Pan członkiem Komitetu Nagród Państwowych. Jeszcze pare innych funkcji społecznych pełni Pan Profesor, między innymi wkłada czas i energię w uruchomienie uniwersytetu otwartego. Doba ma 24 godziny, jak Pan Profesor to wszystko godzi?

— Najbardziej nie lubię ludzi leniwych, tak jak i głupich! Gdy w dodatku osobnik taki jest pewny siebie, pełni jakąś kierowniczą funkcję — nie daj Boże podwładnym... Faktycznie jestem entuzjastą Wolnego Uniwersytetu Polskiego, którego studentem mógłby być także robotnik czy gospodyni domowa. Przede wszystkim jednak uniwersytet ten byłby przeznaczony dla działaczy związkowych, dla działaczy i pracowników organizacji społeczno-politycznych, pracowników administracji państwowej. Jednakże uniwersytet otwarty nie ma na celu zwiększenia zdolności zarobkowych obywateli, ale podniesienie jakości życia, umożliwienie lepszego zrozumienia świata. W RFN występuje zjawisko niechętnego posyłania dzieci na studia, ponieważ uzyskanie dyplomu wiąże się często z zerwaniem kontaktu z rodzicami. I w Polsce istnieje kategoria ludzi, jak chociażby gospodynie domowe, które chcą studiować, aby utrzymać swój autorytet w oczach swoich wykształconych dzieci. Praktycznie zostało potwierdzone, że nabycie wykształcenia przez rodziców pozwala pokonać tę ważną barierę. Ale nie dlatego tylko jestem entuzjastą uniwersytetu otwartego. Absolwent takiego uniwersytetu byłby bardziej świadomym, umiejącym samodzielnie myśleć obywatelem. Uniwersytet otwarty stwarzałby okazję do zdobywania wiedzy ludziom, którzy wcześniej musieli podjąć pracę zarobkową i nie zawsze skończyli szkołę średnią. Kandydaci na studentów przyjmowani byliby na trzymiesięczny okres próbny. W toku 5-letnich studiów absolwenci uzyskiwaliby dyplom wyższego wykształcenia ogólnego.

— Nie uważa Pan Profesor, że w kraju jest nadprodukcja kadr wysoko kwalifikowanych?

— Ale na ludziach wykształconych nam nie zbywa, bowiem szkoły wyższe przede wszystkim kreują fachowców, przysposabiają do pracy w określonym zawodzie, a nie dają rzetelnej wiedzy ogólnej. U nas ważne jest, aby człowiek miał jakiś papier, a nie co umie.

— W Polsce jest trzykrotnie więcej inżynierów w odniesieniu do rozmiarów produktu narodowego, aniżeli w krajach najbardziej rozwiniętych...

— Boleję nad tym, że wielu inżynierów i to czasem moich wychowanków kontentuje się głupimi robotami. Tymczasem inżynier powinien być twórczo niezadowolony, podejmować ambitne zadania, a nie zajmować

(CIĄG DALSZY NA STR. 5)

Krystyna Świerczewska

„WIELOPOLE, WIELOPOLE"

„Więc ja w ogóle nie byłem w Wielopolu, od czasu, jak wyjechałem stamtąd, kiedy miałem lat siedem. Prawda, byłem jeszcze dwa, trzy razy przed wojną, lecz od wojny nie byłem w Wielopolu. Ale tu nie chodzi o moją przeszłość, moja przeszłość nikogo nie obchodzi. „Wielopole" to nie jest opowieść o moim dzieciństwie, to nie historia biograficzna... Mnie to dzieciństwo nie obchodzi, nikogo nie obchodzi. Ja tylko używam tej książki, powiedzmy, nie napisanej, która trwa w mojej pamięci, używam, aby stworzyć coś, co jest prawdą".

Tak powiedział Tadeusz Kantor w Edynburgu 27 sierpnia 1980, podczas występów teatru Cricot 2 ze zrealizowanym we Florencji spektaklem „Wielopole, Wielopole", do angielskiego pisarza Leslie Caplana.

W trzy lata później, w wywiadzie udzielonym „Polityce" powie o Wielopolu i tym, co kryje się za tą nazwą:

... „podświadoma chęć spojrzenia na swoje miejsce urodzenia z odległości, z szerszej perspektywy. Mówię: nie ojczyzna, ale m i e j s c e u r o d z e n i a. To tajemnicze, szczególne miejsce, zakodowane w genach każdego człowieka. Miejsce, którego jakby przyrodzoną cechą jest to, że się je opuszcza po to, aby do niego w końcu wracać. Ten powrót jest bardzo ważny i istotny. A sztuka nie jest niczym innym, jak próbą powrotu do tego miejsca.

Nie chcę być ckliwym, gdy myślę o tym powrocie, nie powiem o tęsknocie za ojczyzną. Raczej o tęsknocie za swoim dzieciństwem. Tęsknota, nostalgia, to niepokojące odczucie jakiejś nieobecności podnosi temperaturę tworzenia... Powrót do rodzinnego Wielopola będzie dla mnie wielkim przeżyciem".

Jest dziś w Wielopolu właśnie.

W starym kościele jego dzieciństwa, z plebanią obok, w której się wychowywał pod okiem księdza — wujka, brata babki, w tej chwili zaczyna ustawiać dekoracje i zaczyna wielką próbę „Wielopola, Wielopola".

„To jest moja Babka,
matka mojej matki — Katarzyna.
To jest jej brat Ksiądz.
Nazywaliśmy go wujem".

Jest to fragment wielkiego monologu, pomieszczony w programie do „Wielopola", nigdy nie wygłoszonego zresztą.

Te dekoracje przedstawiają pokój, oświetlony dwiema nagimi żarówkami. W pokoju jest stół, szafa, walizka i łóżko — maszyna śmierci z korbą, której mechanizm funkcjonuje rotacyjnie: korba porusza oś i przy jej pomocy obracają się dwa blaty. Potem jeszcze wniosą p r z e d m i o t, który nazywa się golgotą.

Jest to:

„Pokój mojego dzieciństwa",

„Pokój mojego dzieciństwa
jest ciemną i zagraconą DZIURĄ
To nieprawda, że dziecinny pokój
w naszej pamięci
pozostaje słoneczny i jasny.
Takim czyni go tylko
konwencjonalna maniera literacka.
Jest to pokój UMARŁY
I UMARŁYCH.
Przywoływany wspomnieniem —
nieustannie umiera.
...Trudno określić wymiar przestrzenny
wspomnienia.
Oto pokój mojego dzieciństwa,
który ustawiam ciągle na nowo
i który ciągle umiera.
Wraz z lokatorami zresztą.
Lokatorzy to moja rodzina

Jest to więc pokój i
„Zakład wynajmu drogich nieobecnych"

We wspomnieniu
nie istnieją prawdziwe i nobliwe
postacie.
Powiedzmy otwarcie, że proceder
wywoływania wspomnień jest
procederem podejrzanym i niezbyt
czystym.
Ten podejrzany typ przebiera się za
rekruta,
aby udawać mojego ojca.
Matkę podrabia najwidoczniej
dziewczyna uliczna.
Wujowie są zwyczajnymi szmaciarzami.
Wdowa po cenionym w naszym
miasteczku fotografie
dzielnie podtrzymująca sławę
Zakładu Fotograficznego
„Wspomnienie" jest na co dzień
zwykłą ohydną sprzątaczką
w parafialnej kostnicy.
o Księdzu lepiej nie mówić.
Jego siostra to zwyczajna kuchta.
I jeszcze wuj Stasio, żałobna
sylwetka Zesłańca —
Podwórzowy Domokrążca z katarynką.

To są właśnie mieszkańcy tego ustawianego pokoju.

W części pierwszej, zatytułowanej „Ślub" — biorą ślub matka i ojciec Kantora: Marian Kantor i Helena Berger.

... „biorę nazwiska i imiona prawdziwe mojej rodziny".

I jak się ma to wyznanie do owego — „to nie jest historia biograficzna", kiedy oba są prawdą?

W tym miejscu trzeba wyjaśnić, co to jest wspomnienie według Kantora i jak się je przywołuje.

„Wspomnienie to jest ustawianie... ustawianie przestrzeni, jak to było, prawda... i ciągle się mylimy. Nie, to nie stało tutaj, stało gdzie indziej..."

„To jest pokój mojego dzieciństwa. Próbuję go zrekonstruować we wspomnieniu wciąż od nowa, a on wciąż znika, umiera...

...jeżeli chcę wywołać wspomnienia jakiegoś faktu z dzieciństwa, to wywołuję je tak, jak się wywołuje ducha na seansie: on się pojawia, ale natychmiast znika. I ja znowu go wywołuję i on się znowu pojawia i... tam nie ma akcji. Nigdy we wspomnieniu nie ma akcji, tylko są k l i s z e i to jest sprawa metody klisz. Ja nawet nie wywołuję, tylko wyjmuję kliszę z rezerwuaru pamięci. O! Jest kliszą! Stoję razem ze swoją matką na rogu ulicy, i to niknie".

Idzie więc o przekaz samej struktury wspomnienia, o wywołanie u każdego widza jego własnych wspomnień poprzez ogólną mechanikę wspominania. Nie chodzi o to c z y j e to jest wspomnienie, idzie o poruszenie tego, co jest w każdym mózgu, zalega jego zakamarek u każdego. Wyjąć to — powiada Kantor Z całą prawdą. Z obsesjami i podświadomością przeprowadzić wiwisekcję wspomnienia. Bo maniery literackiej, która

(CIĄG DALSZY NA STR. 2)

...„więc ja w ogóle nie byłem w Wielopolu, od czasu jak wyjechałem stamtąd...
Fot. Archiwum

Jerzy Walczak

Wypełnianie białych plam

NIE UWAŻAMY SIĘ ZA BOHATERÓW...

(Szare Szeregi w Mielcu)

Już za kilka miesięcy uroczyście obchodzić będziemy w południowo-wschodnim regionie 40 rocznicę wyzwolenia. Gorące lato 1944 roku położyło kres okupacyjnej nocy, trwającej prawie pięć lat, jakże trudnych i tragicznych zarazem. O tym okresie opublikowano wiele historycznych opracowań, dokumentów i wspomnień, a jednak wciąż ukazują się nowe materiały, uzupełniające naszą wiedzę o postawach zachowawczych wobec poczynań okupanta, walce z terrorem, patriotyzmie i ofiarności mieszkańców tego regionu...

Przeto pozwolę sobie na stwierdzenie, iż nie wszystko jeszcze co wiąże się z okupacyjną działalnością ruchu oporu w południowo-wschodnich (i nie tylko zresztą!) województwach zostało już w pełni wyjaśnione i udokumentowane. Składa się na to wiele przyczyn, których mechanizmów nie chciałbym szerzej omawiać, bo to i pora nieodpowiednia i nie ma sensu rozdrapywać zabliźnionych ran i nie o to przecież chodzi. Nie wdając się przeto w dywagacje „kto" i „dlaczego" sądzę, że należy te białe plamy na mapie okupacyjnej, podziemnej działalności rodaków wypełnić treścią i oddać cześć tym wszystkim, którzy w tym ciężkim dla narodu okresie — nie przestali być Polakami, uczestnicząc czynnie, w miarę swoich ówczesnych możliwości, w walce z wrogiem.

Uważam na przykład, że nie wszystko jeszcze wiemy o działalności Szarych Szeregów, a te fragmentaryczne wiadomości, którymi się posługujemy przy ocenie i zakresie ich działania, dają obraz niepełny. W tej publikacji chciałbym się posłużyć przykładem Szarych Szeregów z Mielca. Co dotychczas wiemy o działalności tej organizacji? Niewiele!

W książce „Ostatni krąg", wydanej przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie, autor — Józef Kret, znany działacz ZHP sprzed wojny, a w czasie okupacji organizator Szarych Szeregów z ramienia krakowskiej Chorągwi ZHP, na stronie 6, wspominając o programie i podziale terytorialnym Szarych Szeregów, zamieszcza takie zdanie: „... mnie przypadły Sędziszów, Dębica, Mielec i Tarnobrzeg" — jako miejscowości, w których organizował tajną harcerską organizację. Fakt ten Józef Kret potwierdził następnie w artykule „Spotkanie", opublikowanym w „Nowinach Rzeszowskich" („Widnokrąg") w dniu 12 III 1962 r.

Natomiast w wydawnictwie „Krzysztofory" nr 5 z 1978 r. (są to Zeszyty Naukowe Muzeum Historycznego Miasta Krakowa), w artykule pt. „Szare Szeregi w Krakowie w 1939 — 45" — Magdalena Kurowska pisze, iż: „... w dokonanym przez Komendę Chorągwi ZHP (Mielec znajdował się wówcza w granicach woj. krakowskiego) podziale terytorialnym — Józef Kret był opiekunem Szarych Szeregów w Sędziszowie, Mielcu i Tarnobrzegu"

Wreszcie w poszukiwaniu udokumentowań działalności Szarych Szeregów dotarłem do mieszkającego w Rzeszowie uczestnika konspiracyjnej działalności, a następnie więźnia obozu koncentracyjnego — Władysława Luteckiego, który w całej rozciągłości potwierdził fakt działalności Szarych Szeregów na terenie Mielca, jakkolwiek on sam był organizatorem tej konspiracyjnej organizacji młodzieżowej w Rzeszowie.

— Za działalność konspiracyjną — powiedział W. Lutecki — zostałem aresztowany razem z Józefem Kretem, który był organizatorem Szarych Szeregów w Mielcu. On osobiście potwierdził mi fakt zorganizowania mieleckiej organizacji. Natomiast bliższych szczegółów o działalności tej organizacji podać nie mogę, bo nasze aresztowanie nastąpiło wkrótce po zorganizowaniu Szarych Szeregów.

Trudno nie wierzyć słowom powszechnie szanowanego człowieka, członka Prezydium Zarządu Wojewódzkiego ZBoWiD, który z racji pełnionej funkcji wtajemniczony był w szczegóły struktury organizacyjnej organizacji, a następnie miał dość czasu, by w więziennej celi i za drutami obozu koncentracyjnego z pełną szczerością rozmawiać na tematy ze swym przyjacielem, nieżyjącym już, niestety — Józefem Kretem.

Władysław Lutecki skrupulatnie gromadzi materiały i publikacje, dotyczące ruchu oporu na Ziemi Rzeszowskiej. Z nich też wypisuję kilka szczegółów, dotyczących interesującego mnie tematu.

W Wojskowym Przeglądzie Historycznym nr 3 z 1965 r. na stronie 176, w publikacji Piotra Sieranta — czytam m. in.:

„Jesienią 1939 r. phm Władysław Jasiński, nauczyciel w Mielcu, utworzył z b. harcerzy liceum organizację o nazwie „Polska Organizacja Powstańcza", lub „Organizacja Partyzantki Polskiej" (jeszcze wówczas nie było decyzji o utworzeniu Szarych Szeregów — przyp. J. W.).

W materiale przygotowanym w 1966 r. na sesję popularnonaukową „XX lat harcerstwa na terenie woj. rzeszowskiego" przez Komisję Młodzieżową Referatu Historii Polski KW PZPR i Komendę Chorągwi ZHP — znajduje wyszczególniony Mielec, jako miasto, w którym działały Szare Szeregi.

Przeglądam materiały z sesji popularnonaukowej „PPR na Rzeszowszczyźnie na czele ruchu oporu w walce o narodowe i społeczne wyzwolenie", jaką odbyła się w dniach 15—16 XI 1967 r. w Łańcucie. Z referatu wygłoszonego przez ówczesnego członka KC, I sekretarza KW PZPR w Rzeszowie Władysława Kruczka wyławiam następujące słowa:

„... Jednocześnie rozpoczyna działalność organizacja młodzieżowa Szare Szeregi zorganizowana przez Władysława Luteckiego i Aleksandra Jamrozka. Skupiła młodzież gimnazjalną Rzeszowa, Dębicy, Jarosławia, Niebylca, Łańcuta, Przeworska, Mielca, Tarnobrzega".

Jak więc wynika z sumy tych kilku chociażby oficjalnych stwierdzeń, nie można oczywiście negować faktu istnienia czegoś co istniało przed czterema dziesiątkami lat, w czasach ponurych i groźnych. Niemniej są to wciąż ogólniki, nie znajdujące udokumentowania w aktach, jakkolwiek przytaczane powyżej stwierdzenia nie mogły przecież powstać z niczego. Przeto penetrując temat udałem się do Mielca. Rozmowy z mieszkańcami tego miasta nie wnoszą jednak żadnych szczegółów, poza stwierdzeniami, że owszem, była takowa działalność, ale przecież już tyle lat minęło, nikt jakoś po wojnie tym się nie zajmował, a pamięć jest ulotna. Odwiedzam Zarząd Miejski ZBoWiD. W prowadzonej dokumentacji znajduję zaświadczenie L.p. 06/82, z którego wypisuję fragmenty:

„ZM ZBoWiD w Mielcu niniejszym informuje, że jak ustalono na podstawie świadków to na terenie Mielca w czasie okupacji działała organizacja Szare Szeregi, (...), a m. in. drużyna im. Władysława Sikorskiego, której dowódcą był ob. Maziarzewski syn nauczyciela".

W Mielcu mieszka obecnie p. Zdzisława Bytnar, matka Janka Bytnara, legendarnego bohatera, „Rudego". Od niej też otrzymałem znamienne w swej treści i jakże wiarygodne przecież oświadczenie, którego fragment pozwolę sobie przytoczyć:

„...Byłam jedyną osobą, której mój syn zwierzał się z tajemnicą konspiracyjnej działalności, a m. in. celów podróży. Wiem, że kilka razy w czasie okupacji wyjeżdżał do Mielca, by w mieście tym kontaktować się z członkami Szarych Szeregów"

Stosunkowo dobrze udokumentowana została działalność Szarych Szeregów w Dębicy. Pisząc o tej organizacji w artykule „Przyjmijcie ze spokojem wiadomość o moim losie", zamieszczonym w „WTK" nr 48 z 1975 roku, Janusz Krętel przytacza następujące zdanie:

„...utrzymywały one (Szare Szeregi z Dębicy — przyp. J. W.) przez łączników kontakt z mielecką drużyną Szarych Szeregów którą dowodził Zbigniew Maziarzewski".

Jest to jeszcze jedno potwierdzenie działalności konspiracyjnej organizacji harcerskiej w Mielcu, a jednocześnie wskazanie śladu człowieka, najbardziej chyba w tej sprawie kompetentnego. Nie bez trudności udaje mi się w końcu ustalić aktualne miejsce pobytu Zbigniewa Maziarzewskiego. Od ponad trzydziestu lat mieszka w Katowicach, w Mielcu pozostały tylko groby jego najbliższych. Jest dyrektorem Zespołu Szkół Handlowych w stolicy Górnego Śląska. Zgadza się na rozmowę o latach okupacji.

— Do działalności konspiracyjnej, jakkolwiek nie ujętej jeszcze w ramy organizacyjne (potwierdzenie publikacji P. Sieranta z Wojskowego Przeglądu Historycznego — przyp. J.W.), przystąpiliśmy bezpośrednio po klęsce wrześniowej — wspomina Zbigniew Maziarzewski. — Mówiąc „przystąpiliśmy" mam na myśli nieliczną grupę harcerzy z przedwrześniowego okresu. Zbieraliśmy wówczas porzuconą broń, amunicję, konserwowaliśmy ją i ukrywali, wierząc, że wojna nie potrwa długo i broń będzie potrzebna. Dopiero po pewnym czasie włączono naszą grupę w zorganizowaną strukturę. Naszym bezpośrednim przełożonym był druh Włodzimierz Szymanowski, a po jego zdekonspirowaniu i ucieczce z Mielca — Talaga, niestety, nie przypominam sobie jego imienia. Oni właśnie wyznaczali nam konkretne zadania, im też przekazywaliśmy meldunki o efektach naszej działalności. Innych przełożonych znaliśmy tylko z pseudonimów i z widzenia, gdy przyjeżdżali do Mielca czy to aby odebrać przyrzeczenie harcerskie, przeprowadzić szkolenie, czy też wyznaczyć konkretne zadania. Takie były przecież podstawowe zasady konspiracyjnej działalności i trudno mówić o dokumentacji. Zorganizowaliśmy zastęp „Orłów", lecz z czasem, gdy do organizacji wstępowali nowi członkowie, utworzyliśmy również zastępy „Sępów" i „Jastrząbi". Mnie wyznaczono na drużynowego.

— Jaki był zakres konspiracyjnej działalności mieleckich harcerzy?

— Dość szeroki. W konspiracji prowadziliśmy działalność w zakresie wychowania obywatelskiego i skautowskiego, włącznie ze zdobywaniem stopni i sprawności harcerskich, uczestniczyliśmy w nasłuchu radiowym i kolportażu komunikatów oraz biuletynów AK, obserwacji jednostek wojskowych, zlokalizowanych w różnych okresach w rejonie Mielca i wojskowych transportów, przejeżdżających przez Mielec. Podstawowym celem naszej działalności był tak zwany „mały sabotaż". Z pewnością starsi mieszkańcy Mielca pamiętają jeszcze napisy, jakie pojawiały się na murach miasta: „AK walczy", „Hitler kaput", czy „Tylko świnie siedzą w kinie...", a także permanentnie rozbijane gabloty z fotosami niemieckich filmów. Przecież ktoś to musiał robić...?! Członkowie naszej drużyny docierali do partyzanckich punktów kontaktowych w Otałęży, Gawłuszowicach i Glinach Wielkich z pakunkami, których zawartości tylko mogliśmy się domyślać. Wykorzystano nas do obserwacji mieleckiego więzienia, która poprzedziła odbicie przez „Jędrusiów" uwięzionych w nim członków ruchu oporu. Dobre efekty mieliśmy w zakresie wybijania szyb i przecinania opon w niemieckich samochodach, czy w akcji dostarczania chleba i odzieży dla pracujących w Mielcu i rejonie miasta więźniów radzieckich. Trudno mówić o wszystkim, to szeroki temat i myślę, że kiedyś znajdzie pełne udokumentowanie.

— Czemu więc należy przypisać, że dotychczas nikt tego wszystkiego jeszcze nie udokumentował?

— Bo ja wiem? Po pierwsze zdecydowana większość członków naszej drużyny to byli ludzie wysiedleni z Poznańskiego, którzy bezpośrednio po zakończeniu wojny wrócili w swoje strony. Natomiast my, mielczanie, też wyjechaliśmy z rodzinnego miasta czy to na studia, czy do pracy... Efekt jest taki, że od wielu już lat w Mielcu nie mieszka chyba nikt z mojej konspiracyjnej drużyny. Któż więc miał dokumentować to, co robiliśmy w czasie okupacji? Przecież my nie uważamy się za bohaterów! Po prostu — nie mogliśmy być harcerzami oficjalnie, więc czyniliśmy to w konspiracji. W przyrzeczeniu harcerskim zawarty jest przecież zasadniczy motyw: patriotyzm i umiłowanie Ojczyzny! Wypełnialiśmy przeto obowiązek harcerza.

— Uważam jednak, że obowiązkiem drużynowego było zadbanie o pełną dokumentację okupacyjnej działalności.

— Może rzeczywiście! Ale wszyscy wiemy o pewnym szczególnie trudnym powojennym okresie, kiedy to... Nie wracajmy do spraw przykrych. Ja osobiście dużo w tym czasie doświadczyłem i dlatego nie chcę do tych spraw wracać, gdy pojednanie narodu jest dla nas wszystkich sprawą najpilniejszą. Za swoją okupacyjną działalność w Szarych Szeregach zostałem wysoko uhonorowany. Bezpośrednio po zakończeniu wojny, gdy nasza okupacyjna drużyna rozpoczęła jawną działalność w szeregach ZHP, ówczesny premier Edward Osóbka Morawski osobiście udekorował mnie, na podstawie art. 3 dekretu Krajowej Rady Narodowej z dnia 26. X. 1945 r. — „Medalem Zwycięstwa i Wolności". Ten dokument, sygnowany nr 9229 pieczołowicie przechowuję i jestem z niego dumny.

...A jednocześnie jest to chyba najbardziej wiarygodny dokument potwierdzający konspiracyjną działalność mieleckiej młodzieży w okresie hitlerowskiej okupacji.

„WIELOPOLE, WIELOPOLE"

(DOKOŃCZENIE ZE STR. 1)

każe zlocić dziecinny pokój. Kantor na przekór — każe wejść głęboko do DZIURY dzieciństwa, obnażyć lęki, spróbować nazwać to, co się śni każdemu dziecku, np. że coś wielkie i z pazurami stało obok łóżeczka...

Dlatego wspomnienia Kantora bywają okrutne, brutalne i szokują. Bo dzieją się wedle formuły surrealisty Andre Bretona o „parasolu na stole operacyjnym połączonym z maszyną do szycia".

Kto w końcu zastanawia się, jakie skojarzenia w dziecku budzi ksiądz mówiący tekst Ewangelii o ukrzyżowaniu, okrucieństwo ukrzyżowania, bicz, gwóźdź, krzyż, rana, krew?

Jest więc w „Wielopolu", prawda kliszy wyblakłej: tu stał stół, na stole leżała walizka, ale czy naprawdę stół stał po prawej, a walizka była czarna? Kto to zaświadczy, skoro wszystko umarło i ja tylko wywołuję ducha stołu, walizki, Babki? I jak się to wszystko realne — ów stół, walizka, babka — ma do tamtych moich skojarzeń, do rozwijającej się biologii dziecka, które mogło na przykład po ciemku przyciąć sobie rękę opadającym wiekiem walizki, rozedrzeć nogę o gwóźdź wystający ze stołu, siedzieć w ciemności, która była bólem, jaką kliszę to mogło dać? Te klisze poza tym pulsują. Te klisze się powtarzają. W powtórzeniach i pulsowaniu zasadza się rytm aktu tworzenia.

Kantor pisze o wspomnieniu zbierania grzybów, że to wcale nie jest wspomnienie lasu, drzew, pogody dnia, ale właśnie pulsowanie rytmu: schylam się, ucinam grzyb, podnoszę, schylam się, ucinam grzyb — słowem wspomnienie o grzybobraniu, to rytm schylania się po grzyba i nic więcej, żadnej przyrody.

Zbudował tę strukturę wspomnienia o Wielopolu po raz pierwszy na publiczny użytek we Florencji 23 czerwca 1980, po siedmiu miesiącach pracy z zespołem i dwu latach pracy samotnej. Objechał ze spektaklem pół świata, zebrał nagrody, medale, odznaczenia. W Polsce pokazał go dopiero w listopadzie 1980 r. w Warszawie i Gdańsku. Patronowały przedsięwzięciu Teatro Regionale Toscano i Comune di Firenza, bo niestety, nawet teatr ubogi musi z czegoś żyć i za coś tworzyć. Włoscy mecenasi dawali niezależność; z polskimi — trudno się dogadać, jeśli się nie jest i nie chce być instytucją sprofesjonalizowaną. A Kantor konsekwentnie od 28 lat — czyli istnienia Cricot 2 — nie chce.

Jest aktorem wędrownym, teatr wyprowadza wprost z budy jarmarcznej i clownad intelektualnych. To nie może być dotowane, z etatami, administracją; to może tylko funkcjonować jako trupa wędrowna.

Do Wielopola zjeżdżają więc włoscy aktorzy, polscy aktorzy na dziś — jutro rozjadą się do domów i będą czekać do następnej okazji.

Dlatego właśnie przez 28 lat istnienia teatru Cricot 2 Kantor dał zaledwie 9 aktów teatralnych, bo nienawidzi słowa premiera. Wszystkie były dotychczas z Witkacego — clowna szalonego; były osobistymi rozmowami Kantora z Witkacowym tekstem.

Ten ostatni „Wielopole, Wielopole" jest cały Kantora: i tekst, i inscenizacja, i scenografia. Jest cały z powrotu do źródeł dzieciństwa. Nie będąc bynajmniej biografią.

Składa się z pięciu części; ich tytuły — to „Ślub", „Lżenie", „Ukrzyżowanie", „Adaś odjeżdża na front" i „Ostatnia wieczerza", do której Kantor własnoręcznie nakrywa stół, wygładza obrus i usadza aktorów upozowanych jak na obrazie Leonarda.

A zaczyna prezentacją DZIURY, czyli dziecinnego pokoju, gdzie dzieją się sprawy rodziny, zwykłe, banalne, nieważne, stanowiące jeden zaledwie element przedstawienia, na całość którego składają się jeszcze dwa inne: mitologia Ewangelii i wojsko. Te sprawy dzieją się w przedpokoju i są najważniejsze, spirytualne.

W Wielopolu był tylko pokój dziecinny; poza pokojem natomiast maszerowały armie pierwszej wojny światowej, a w ludziach na całym świecie, od dwóch tysięcy lat toczą się intelektualne i emocjonalne spory z au déla, albo religią, albo Bogiem.

Kantor w nie wkracza jako demiurg porządkujący dwie niekoherentne rzeczywistości; tę tamtejszą, realną, dziecka i jego rodziny z Wielopola, z tą ponadczasową, irracjonalną, która składa się na świadomość człowieka, każdego człowieka, a więc i artysty.

Jest obecny w przedstawieniu jako aktor, w pełni za nie odpowiada, towarzyszy swoim protagonistom zawsze, niczym w sprawie ostatecznej. Przygotowuje się w każdym spektaklu do jego umierania, bo spektakl jest o umarłych, UMARŁYM POKOJU, i chyba o mających UMRZEĆ.

„Można rozumieć obecność Kantora jeszcze i tak: jako świadectwo jedynej poświadczonej prawdy. Macie mnie żywego: takiego rozliczajcie za klęski i zwycięstwa, moje ciało broni autentyczności dzieła" — napisał jeden z recenzentów.

15 grudnia 1983 o godzinie siedemnastej zacznie się w Wielopolu okrutny zabieg wiwisekcji własnej świadomości i podświadomości twórcy „Wielopola, Wielopola". Żeby było okrutniej — dokona się w kościele, tym samym, obok którego na plebanii żył wuj — Ksiądz, brat babki Katarzyny.

Kiedyś, wspominając Wielopole, Kantor wyciągnął z mózgu kliszę: idę ulicą za rękę z matką, na końcu ulicy stoi różowy dom.

Czy jest jeszcze ten dom, proszę pana?

Poruszony mechanizm wspomnienia mojej pamięci podrzuca mi w tym momencie inną kliszę: idę z matką za rękę, stajemy przed oderwanym od domu narożnikiem, widać niebieską ścianę, zawieszone koślawo pod niebem łóżko, na ścianie zblakłe miejsce po obrazku, który zdmuchnął podmuch małej bombki, zrzuconej na tamten dom.

Tamten różowy dom stał po pierwszej wojnie światowej — tę niebieską ścianę wybebeszyła druga wojna światowa. Pomiędzy wojnami — ludzie, każdy ze swoim dzieciństwem.

Ale w końcu nie o wojny idzie w „Wielopolu", tylko o cmentarze dzisiejszego świata, jak pan to wyjaśnił pisarzowi angielskiemu Leelie Caplanowi, który nie bardzo orientował się w polskich realiach Wielopola.

W czwartek, w grudniu, pod koniec wieku dwudziestego zjedzie do Wielopola wielu ludzi, żeby zobaczyć pańską projekcję wspomnienia. I przyjdą wielopolanie. Co też powiedzą panu? Czy uda im się przedrzeć przez pokłady mitów, własnych obiegowych sądów do wielkości tego spektaklu, który wynurzył się z rezerwuaru pańskiej pamięci? I jakie będzie wówczas pańskie przeżycie?

STALOWA WOLA...

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

się byle czym, byle mieć spokojną głowę. Wiedza inżyniera podobnie jak lekarza szybko się deprecjonuje, gdy nie siedzi w swoim zawodzie.

— Bywa, że ludzie techniki uciekają do handlu, rzemiosła...

— ... w pogoni za pieniążkami i to jest przykre, wszak państwo wyłożyło określone sumy na ich wykształcenie i ten kapitał nie procentuje. Ale też źle ustawiony jest w przemyśle system motywacyjny, ludzie którzy mają technicznie i technologicznie organizować produkcję często nieproporcjonalnie mało zarabiają. A od nich przecież zależą wyniki produkcyjne. Czując się niedocenianymi zmieniają bywa swój zawód, zatrudniają siebie np. w charakterze taksówkarza. I to jest smutne.

— Jest Pan przedwojennym inżynierem. Czym różni się obecny Pański rówieśnik, mający te ukończone 30 lat?

— Należę do pokolenia, które pamięta radość z odzyskania niepodległości. Myśmy z pełną żarliwością pracowali dla tej Polski. Podobny zresztą entuzjazm wśród ludzi był w pierwszych latach powojennych. Poza tym przed wojną inżynier chciał coś zrobić, a dzisiaj szuka często powodów wytłumaczenia, dlaczego czegoś nie zrobił. Myśmy nie uciekali przed trudnościami, chcieliśmy wiele dokonać. Poza tym mieliśmy nieporównywalnie większą swobodę działania, podejmowania decyzji, co ogromnie pobudzało do pracy. Niepokoi mnie marazm dzisiejszy właśnie wśród części ludzi techniki z przemysłu, a przecież jesteśmy w jakże trudnej sytuacji. Musimy bardziej energicznie wychodzić z gospodarczego dołka. I tutaj pierwszoplanową rolę musza odgrywać ludzie techniki. Z zadziornością, z poświęceniem, z heroizmem, nie mniejszym, z jakim myśmy walczyli z Niemcami.

— W czasie okupacji był Pan szefem przemysłu wojennego Armii Krajowej. Proszę opowiedzieć o tym epizodzie.

— W końcu na wspominanie pobytu w Stalowej Woli nie będzie czasu... W każdym razie faktycznie byłem zaangażowany w ruchu oporu, później nawet po wojnie wytykano mi przynależność do AK. I z szefa przemysłu metalowego maszyn ciężkich, nadzorującego pracę czterech zjednoczeń, zszedłem na stanowisko dyrektora technicznego fabryki maszyn budowlanych im. Waryńskiego. W czasie wojny najpierw zaprzysiężony zostałem jako członek ZWZ. Równo przed 40 laty w ramach VI Oddziału Sztabu KG AK organizowałem branżę produkcji broni, nazwaną ogólnie „przemysłem wojennym". Prócz broni ten nasz pion obejmował oczywiście amunicję, środki łączności, lotnictwo i motoryzację. W tymże 1943 roku gestapo zaczęło się mną interesować, przerwałem więc pracę zarobkową, zmieniłem nazwisko i jako pan Zawadzki zajmowałem się już wyłącznie sprawami zbrojeniowymi, obejmując całość przemysłu wojennego. W czerwcu 1944 roku objąłem także funkcje zastępcy szefa produkcji broni i amunicji

W czasie powstania robiliśmy przede wszystkim granaty. Jedni zbierali blachę zrywaną z dachów, inni ją topili i robili gąski, jeszcze inni zapalniki. Materiał wybuchowy sporządzaliśmy z tego co było w aptekach, później z niemieckich niewypałów. Naprawialiśmy także sprzęt, zwłaszcza we wrześniu, gdy dokonywane były zrzuty radzieckie bez spadochronów. Trzeba było wyklepywać czasem nawet amunicję. Po kapitulacji znalazłem się w obozie jenieckim w Gross-Born. Po dwóch tygodniach pobytu tam byłem już kompletnie zapracowany: prowadziłem kurs organizacji i zarządzania, pisałem do jednej z gazet, której redaktorem naczelnym był Jerzy Turowicz i miałem kilka zajęć. A w wolnych chwilach nie zapomniałem i o czymś dla ciała, brałem plecak wyniesiony jeszcze z Powstania i robiłem z nim codziennie kilka okrążeń po obozie. Ta zaprawa przydała się podczas ewakuacji obozu, marsz w mrozie i śniegu po kolana znosiłem całkiem dobrze. Pamiętam, jak podniosłem z udeptanej ścieżki pudełeczko z igłami, dla któregoś z kolegów i ten ciężar był za duży. Uśmiechano się, gdy krążyłem po obozie z plecakiem, tymczasem postąpiłem przezornie, ta zaprawa pozwoliła mi w stosunkowo dobrej kondycji przetrwać ów marsz.

— Wcześniej — we wrześniu 1939 roku także przeżywał Pan ewakuację i marsz...

— Wojna zaskoczyła mnie w Stalowej Woli, gdzie pracowałem jako dyrektor techniczny w Zakładach Mechanicznych, w nowo wzniesionej fabryce artyleryjskiej. Już na początku wojny przeżyliśmy nalot, na szczęście niezbyt groźny. Zakłady Południowe w Stalowej Woli miały silną obronę przeciwlotniczą, złożoną z baterii dział 40 mm oraz kompanii cekaemów. Bodaj 8 września otrzymaliśmy rozkaz ewakuacji. Ostatnia część załogi pod moją komendą wyszła w czterech kolumnach, najbardziej wytrwali doszli pod Lublin, który Niemcy już zajęli. Wróciliśmy więc do Stalowej Woli. Ja tylko po to, aby zabrać rzeczy osobiste. Nie chciałem produkować broni dla hitlerowców, wyjechałem w rodzinne strony.

— Pracę w Zakładach Południowych podjął Pan w 1937 roku, w którym miesiącu?

— Z początkiem grudnia, Fabryka jeszcze była w budowie. Miałem za sobą wówczas praktykę inżynierską w Jugosławii i Francji, no i pracę w polskim przemyśle zbrojeniowym uhonorowaną — poszczycę się — Krzyżem Zasługi. Z tym, że we Francji na praktyce byłem nie jako inżynier, ale frezer. Francuzi wiedzieli, że jestem inżynierem, że skierowany zostałem do ich fabryki zbrojeniowej przez departament uzbrojenia, ale tajniki ich zakładu poznawałem po południu, w wolnych chwilach. Przez osiem godzin byłem na swoim stanowisku roboczym.

— W grudniu 1937 roku najbardziej zaawansowana była budowa narzędziowni?

— Właśnie instalowano w narzędziowni pierwsze obrabiarki. Tu coś spawają, tam komot i pamiętam te ustawiane pierwsze maszyny, widoczne z mojego biura, bowiem nie było jeszcze drzwi. Zaawansowana była budowa hali montażowej Zakładów Mechanicznych, trwała budowa hali produkcyjnej, budynku dyrekcji. Tempo robót było imponujące.

— Pan przyszedł z innej fabryki uzbrojeniowej?

— I to zajmowałem w Rembertowie wyższe stanowisko. Zdecydowałem się nieco mniej zarabiać, aby tylko uczestniczyć w tym wielkim dziele przemysłowym — budowie COP. Większość fachowców i kadry technicznej pochodziła ze Starachowic, bądź z Radomia. Kadrę mistrzów kompletowaliśmy głównie w oparciu o radomską fabrykę, znałem tam lepiej ludzi i przyjmowałem ich. Moim pierwszym zadaniem było skompletowanie załogi Zakładów Mechanicznych. Każdy fachowiec, który przychodził do Stalowej Woli na ogół awansował o kratkę wyżej. Stanowiska przy obrabiarkach, a mieliśmy sporo maszyn francuskich, niemieckich, nawet amerykańskich, doskonałe frezarki z Pruszkowa — obsadzane były młodzieżą. Zwróciłem się do wszystkich szkół zawodowych w kraju o skierowanie absolwentów, dostałem kilkaset podań. Szkoły solidnie uczyły wówczas zawodu, młodzi pod okiem doświadczonej kadry osiągali bardzo dobre rezultaty. Oczywiście do zawodu przyuczaliśmy również miejscowych. Ludzie garnęli się do pracy, najniższa stawka u nas wynosiła 40 groszy, gdy miejscowy obszarnik Franke za dniówkę w lesie płacił pół złotego. Na tym terenie tradycje miało szkolnictwo średnie, sporo młodzieży ukończyło uniwersytety — Jagielloński czy Lwowski i czekało na wolne stanowiska w starostwie czy na poczcie. Nie mieliśmy trudności ze skompletowaniem administracji.

— Nie jest dziś tajemnicą, że stalowowolskie Zakłady Południowe w części mechanicznej miały produkować sprzęt artyleryjski. Dokładnie jaki?

— Możliwie jak najszybciej chcieliśmy rozpocząć produkcję dział. Nie pamiętam dokładnie, ale pierwsza bateria dział odbyła próbne strzelania w lutym bądź marcu 1938 roku. W maju tegoż roku przekazaliśmy uroczyście Wojsku Polskiemu pierwsze swoje haubice 100 mm. Produkowaliśmy też działa 105 mm, haubice 155 mm, a następnie lufy i zamki działek przeciwlotniczych i przeciwpancernych — 37 i 40 mm. Był to wysokiej klasy sprzęt wojenny.

— Oprócz produkcji zbrojeniowej w części mechanicznej wytwarzano turbiny...

— Fabryki sprzętu zbrojeniowego miały w swoim programie produkcję cywilną, aby posiadać większą zdatność produkcyjną na wypadek wojny. Myśmy przygotowywali się do uruchomienia produkcji turbin, na licencji szwedzkiej Ljungströma. Warto dodać, że ten nasz licencjodawca powstał, dzięki łupom zagrabionym w czasie najazdu w XVII wieku. Gdy wybuchła wojna, pierwszy agregat elektryczny o mocy 3 MW na zamówienie lasów państwowych przechodził właśnie próby. Wszystko to były niezmiernie ambitne zadania techniczne, przed wojną była to okazja jedna na sto lat. Po to, aby wziąć udział w tej pięknej robocie, przyjechałem do Puszczy Sandomierskiej. Z perspektywy czasu, pobyt w Stalowej Woli uważam za najpiękniejszy okres mojej działalności inżynierskiej. Ludzie wspaniale pracowali, z zapałem.

— Czy tylko z tym swoim pobytem kojarzy się Panu obecnie „Stalowa Wola"?

— Myśmy produkowali sprzęt zbrojeniowy, koloru zielonego, obecnie Huta „Stalowa Wola" znana jest powszechnie z maszyn żółtych i ciężkich — budowlanych. Jest to zakład obecnie bez porównania większy, aniżeli przed wojną, mający wyroby wysokiej jakości. Postęp techniczny jest ogromny. Z tym, że myśmy przed wojną na pewno byli w ścisłej czołówce światowej, a w tej chwili stalowowolska huta jest blisko światowego poziomu technicznego. Niestety, większy jest w tej chwili odstęp do tej czołówki, aniżeli my mieliśmy przed wojną.

— Czego pragnie życzyć jedyny żyjący przedwojenny dyrektor „Stalowej Woli" załodze HSW?

— Chcę życzyć załodze stalowowolskiej huty, zakładu jakże mi bliskiego, dalszych osiągnięć produkcyjnych, rozwoju. Tego, aby każdy kto tu pracuje był dumny, że jest członkiem „Stalowej Woli". Myśmy właśnie posiadali taką dumę, szczyciliśmy się pracą w Stalowej Woli. Pragnę życzyć kierownictwu i załodze przedsiębiorstwa sukcesywnego zmniejszania tego znikomego odstępu od światowej czołówki, realizacji trudnych zadań, wymagających wysokiej dokładności, a jednocześnie produkcji po przyzwoitej, konkurencyjnej cenie. Cieszę się, że nie zapomina się o tych pierwszych latach przedwojennych, o twórcy Stalowej Woli — wicepremierze Eugeniuszu Kwiatkowskim. Z satysfakcją więc dowiedziałem się, że niedawno jego imieniem nazwano przyhutniczą ulicę, że na frontonie kościoła wmurowano pamiątkową tablicę. Był czas, w którym uważano, że wszystko to, co przedwojenne było złe, sanacyjne. Dla mnie okres stalowowolski był najciekawszy i najważniejszy w życiu. I mile te lata wspominam. Również córka mile wspomina kilkuletni powrót do Stalowej Woli, już w latach niezbyt odległych, gdzie pracowała przy rozbudowie tutejszej elektrowni. Praktyka ta również dobrze jej się przydała w życiu zawodowym...

— Dziękuję Panu Profesorowi za rozmowę! A w przyszłości zapewne nie zabraknie w Stalowej Woli ulicy profesora Janusza Tymowskiego...

Rozmawiał WALENTY SOWA

Mieczysława Teodorczyk

DZIECI W PRACOWNI

Kilka lat temu przyjechał do Sanoka plastyk Bogdan Haremża. Tu ożenił się, otrzymał mieszkanie spółdzielcze i niewielką piwniczkę, w której urządził sobie pracownię. Obijająca się po klatkach dzieciarnia i młodzież, nie znajdująca innych możliwości spędzenia wolnego czasu w osiedlu coraz częściej odwiedzała małżeństwo Haremżów. Pracownia ta jest jak na razie jedyną placówką kultury w tym rejonie miasta.

— Coraz częściej poznawaliśmy najmłodszych mieszkańców osiedla Waryńskiego — mówi Bogdan Haremża. — W wielu przypadkach ich życie bynajmniej nie było takie proste i bezkonfliktowe. Z czasem zorientowaliśmy się, że garnie się do nas przede wszystkim młodzież z wieloma życiowymi problemami, którym sama nie potrafi sprostać.

Pracownia Haremżów zaczęła więc funkcjonować również jako ośrodek opiekuńczo - wychowawczy. Wiele godzin poświęcali oni na rozmowy z młodzieżą, zwłaszcza z tą społecznie zagrożoną: palącą, pijącą, używającą środki odurzające. Te przyjacielskie rozmowy bywają czasem zbawienne. Nastolatki chcą rozmawiać, chcą być słuchane, zauważane, chcą coś znaczyć w tym osiedlowym środowisku.

Jest bolesną prawdą, że rodzice nie zawsze znajdują czas dla swoich dzieci. Pędzą za groszem, stoją w kolejkach, wykonują dziesiątki prac domowych, nie znajdując chwili czasu na to, by spokojnie wysłuchać swoje dorastające dziecko, starać się je zrozumieć i nie bagatelizować jego problemików, które z czasem mogą urosnąć do rangi problemu. Odpychany dzieciak buntuje się, robi szereg głupstw, by stać się „bohaterem" w swoim rówieśniczym środowisku.

Poważny ciężar wychowania młodego pokolenia, co nie zawsze sobie uświadamiamy, spada również na placówki kultury znajdujące się najbliżej miejsca zamieszkania — a więc osiedlowe.

Staraniem Haremżów i grupy społeczników na osiedlu Waryńskiego dla potrzeb młodzieży przystosowano kolejne dwie piwnice sąsiadujące ze wspomnianą już wcześniej pracownią. Wyposażono je skromnie w taborety i stoły. Działalność społeczna tego małżeństwa zyskała pełną akceptację sanockich władz i organizacji społecznych.

Rozmowy z dziećmi i młodzieżą — to byłoby za mało. W ramach swoich skromnych możliwości klub urządza imprezy sportowo-rekreacyjne i artystyczne na wolnym powietrzu. Kiedy odwiedziłem piwniczkę, Haremżowie przygotowywali wystawę na temat skutków alkoholizmu i rozmiaru tego społecznego zjawiska.

Dwa małe niezbyt widne piwniczne pomieszczenia trudno nawet nazywać klubem. Warunki do pracy z młodzieżą są zbyt skromne. Ale placówka ta nie pozostaje bez perspektyw. Opodal zlokalizowana jest duża, nie użytkowana kotłownia, w której urządzony będzie klub. Jak zapewnia prezes sanockiej spółdzielni mieszkaniowej Mieczysław Kozimor ma to nastąpić przed końcem I kwartału przyszłego roku.

Przykład Haremżów dowodzi jak istotna jest inicjatywa i działalność społeczna w kulturze. Dwoje ludzi z zacięciem pedagogicznym może zrobić więcej niż całe zastępy „urzędników" pozostających na etatach domów kultury... — Ta mini-placówka — mówi kierownik osiedlowego domu kultury w Sanoku Elżbieta Wilk, — nie jest bynajmniej naszym najmłodszym dzieckiem. Ostatnio przy ul. Sierakowskiego otworzyliśmy kolejny punkt, który podobnie jak tamten z osiedla Waryńskiego jest także naszą filią. Wiele jeszcze trzeba tym placówkom pomóc, doposażyć w sprzęt audiowizualny, gry świetlicowe, wesprzeć instruktażowo. Zależy nam bardzo na tym, by placówki te prężnie działały w środowisku i mogły je integrować.

Śmiem twierdzić, że osiedlowy dom kultury w Sanoku jest to jedna z najlepiej działających placówek tego typu w woj. krośnieńskim.

W klimacie tego domu jest coś ciepłego, kameralnego, co sprawia, że mieszkańcy osiedla czują się tu dobrze. U wejścia rzuca się w oczy sentencja: „Bardziej niźli chleba, poezji trzeba w czasach, gdy jej nie trzeba". Co tu ukrywać czasy i dla kultury są ciężkie, ale nie zwalniające bynajmniej placówek od prowadzenia szerokiej działalności artystycznej i opiekuńczo - wychowawczej. Dąży się do tego, by były one drugim domem. I coś w tym chyba jest. Kiedy odwiedziłam tę placówkę było gwarno od dziecięcego śmiechu i tłoczno w salach przeznaczonych na działalność fakultatywną.

Czynna była wystawa prac artystów - amatorów z terenu osiedla, miasta i okolicy.

— Ponad tysiąc dzieci, młodzieży i dorosłych skupiają nasze koła zainteresowań — informuje Elżbieta Wilk. Tu spotykają się drużyny harcerskie i zuchowe. Działają teatry kukiełkowy i żywego planu. Ponadto — dwa koła plastyczne, zespoły taneczne, prowadzi się orkiestrę mandolinistów i zajęcia w szkole technicznej. Najbardziej znana w mieście i województwie jest modelarnia. Może się ona pochwalić również sukcesami w skali kraju. Ostatnio Adam Silarski zdobył tytuł mistrza Polski w modelarstwie rakietowym.

Śledząc program całorocznej działalności placówki nietrudno zorientować się, że dziesiątki imprez dedykuje się różnym grupom wiekowym — mieszkańcom osiedla i miasta. A więc spektakle teatralne, koncerty, towarzyskie spotkania z rodzicami, dziecięco - młodzieżowych artystów, dyskusje na tematy działalności placówki. Organizuje się wystawy i imprezy o szczególnych walorach patriotycznych i wychowawczych związanych z ważnymi wydarzeniami i rocznicami. Organizuje się konkursy, pokazy, wycieczki. Dłużej warto by się zatrzymać nad działalnością opiekuńczą. W każdą wolną sobotę organizuje się opiekę nad małymi dziećmi.

— Wiele wysiłku wkładamy w przygotowanie nieobozowej akcji letniej i ferii zimowych — mówi Elżbieta Wilk. W miesiącach letnich organizujemy wycieczki rowerowe i zabawy, w zimie kuligi. Czytamy bajki, wyświetlamy przeźrocza i filmy. Dzieci bardzo lubią kilkudniowe, letnie biwaki w Polańczyku. Latem organizujemy obóz w Poddębiu nad morzem dla 150 dzieci z osiedla. Z naszej inicjatywy zakłady pracy założyły 33 książeczki mieszkaniowe dla dzieci najbiedniejszych i osieroconych. Nie mówiąc już o tym, że stale partycypują one w kosztach działalności i funkcjonowania placówki. Wojewódzki Komitet Przeciwalkoholowy przekazał na nasze konto milion złotych po to, byśmy mogli nadal prowadzić działalność opiekuńczą nad dziećmi z rodzin zagrożonych społecznie.

Osiedlowy dom kultury posiada liczący się dorobek. Początki działalności były skromne. Dopiero w 1972 roku powstał pierwszy w tym mieście klub spółdzielczy „Puchatek", którego kontynuatorem jest właśnie wspomniany dom kultury.

— W dwa lata później w roku 1974 — mówi Mieczysław Kozimor — zorientowaliśmy się, że spółdzielnia mieszkaniowa łoży więcej na wywóz śmieci niż na kulturę. Był to powód do wstydu. Wtedy właśnie padł wniosek budowy domu kultury o powierzchni nie mniejszej niż 900 m kw. Od początku jego istnienia łożymy na utrzymanie i działalność. Zatrudniamy pięciu instruktorów na pełnych etatach i 12 na półetatach i ryczałtach. Przekazujemy środki na stroje i zakup sprzętu.

Nie od dziś wiadomo, że ten dom kultury jest oczkiem w głowie prezesa spółdzielni. A pańskie oko konia tuczy.

SZANSE ROZWOJU I PROGRAM DZIAŁANIA RZESZOWSKIEGO ODDZIAŁU ZLP

W Rzeszowie został utworzony przed kilkoma dniami oddział nowego Związku Literatów Polskich. Na zebraniu organizacyjnym, prezesem oddziału wybrano powieściopisarza i publicystę ZBIGNIEWA KREMPFA. Rozmawiam z nim o nowej sytuacji, jaka powstała dla pisarzy naszego regionu i o kierunkach działania nowego zarządu Oddziału.

— Które zadania uważasz za najpilniejsze w tym dość trudnym okresie startu nowego Związku. Wiadomo, że rzeszowskie środowisko literackie zdezintegrowało się, jak zresztą prawie w całym kraju, że zarysowały się poważne różnice postaw i poglądów. Jest Was w tej chwili bardzo mała grupka członków nowego Związku. Jakie są szanse liczebnego wzmocnienia oddziału.

— Zacznę od perspektyw wzmocnienia Oddziału. Formalne szanse istnieją, gdyż w naszym regionie tworzy grupa młodych koleżanek i kolegów — składających się z ponad 20 osób, które mają już pewien dorobek wydawniczy, po jednej, dwie, czasem nawet po trzy książki. Jest to, podkreślam, szansa formalna, gdyż nie sama liczba wydanych pozycji decyduje o przyjęciu do związku, ale ocena ich wartości artystycznej przez krytyków z komisji kwalifikacyjnej Zarządu Głównego. No i trzeba jeszcze, by ci ludzie wyrazili chęć przystąpienia do Związku. Jak już wiadomo w naszym nowym statucie przewiduje się status kandydata do Związku. By zostać kandydatem do Związku trzeba mieć jedną trzecią dorobku w opublikowanych książkach w stosunku do wymogów stawianych członkom Związku. Na przykład, by starać się o przyjęcie jako członek Związku trzeba mieć 3 tomiki poetyckie, starającemu się o status kandydata wystarczy jeden. Takie same mniej więcej proporcje obowiązują w innych dziedzinach twórczości literackiej, z tym że przy słuchowiskach czy utworach scenicznych wystarczy, gdy będą one emitowane przez radio lub wystawione na scenie albo opublikowane w jakimś piśmie. To są kryteria formalne. O walorach artystycznych, jak już wspomniałem, orzeka Komisja Kwalifikacyjna i stawia wniosek Zarządowi Głównemu ZLP o przyjęcie lub nieprzyjęcie starającego się. Okres kandydacki trwa 5 lat. Jeśli w tym okresie nie powiększy swego dorobku, tak by mógł zostać członkiem, zostanie z listy kandydatów skreślony.

— Sytuacja dla Oddziału w Rzeszowie jest o tyle sprzyjająca, że w tym czasie, gdy został zawieszony, a później rozwiązany Związek, nie zawiesił swej działalności rzeszowski KAW, który wydał sporo książek zarówno poetyckich, jak i prozatorskich młodych twórców z naszego regionu, nie zawiesiły również działalności inne wydawnictwa w kraju. No i nie przestali pisać adepci pióra. Ukazało się w ostatnich latach sporo interesujących książek potencjalnych kandydatów do Związku.

— Zasięg naszego oddziału obejmuje 4 województwa Polski południowo - wschodniej, interesujemy się więc również środowiskami całego regionu. Były Związek został zawieszony, potem rozwiązany. Ponieważ nasze Koło Młodych było organizacją jakby filialną oddziału, wobec tego zawieszenie dotknęło również to Koło. Natomiast działały inne organizacje młodoliterackie, jak ośrodki KKMP działające przy zarządach wojewódzkich ZSMP (w Rzeszowie „Gwoźnica", w Krośnie „Pogórze"). Działał także Klub Literacki w Sandomierzu. Członkowie tych klubów i tych ośrodków spotykali się, pisali i wydawali, jak np. w Krośnie i Tarnobrzegu. Wymienię tu Jana Tulika, Józefa Janowskiego, Aleksandra Migę z Krosna, Edwarda Bolca, Janinę Krawczyk, Ryszarda Świętonia z Rzeszowa, Kazimierza Iwosse z Jarosławia (wydał dwie powieści, złożył w wydawnictwie trzecią), Mariana Berkowicza ze Stalowej Woli. Wiem, że kilku młodych kolegów ma tomiki już przygotowane w wydawnictwach: Adam Decowski, Adam Gruszka i in.

A więc potencjalnych kandydatów nie brak. Jeżeli ci koledzy zechcą się włączyć w nasze działania bądź jako kandydaci bądź jako członkowie, to oddział będzie miał wszelkie szanse rozwoju nie tylko liczbowego, ale i jakościowego.

— A najbliższe plany pracy zarówno dla integracji środowiska, jak i socjalnej pomocy dla pisarzy, którym taka pomoc jest potrzebna?

— Tych najbliższych zadań jest dużo i Zarząd będzie musiał intensywnie pracować. Chcemy przede wszystkim zainteresować się sytuacją bytową, warunkami pracy naszych kolegów. Łączy się to także ze sprawami wydawniczymi i publikacjami. Zarząd został zobowiązany do spotkania się z przedstawicielami władz politycznych i administracyjnych z czterech województw, by przedstawić nasze plany i omówić zasady współdziałania, bo chcemy współuczestniczyć we wszystkich poczynaniach kulturotwórczych, podejmowanych na terenie tych 4 województw. Chcemy też zwrócić uwagę władz wojewódzkich na te środowiska młodoliterackie, które działają na ich terenie. Mamy zamiar spotkać się z kierownictwami wszystkich redakcji środków masowego przekazu działających w naszym regionie, by omówić zasady współpracy i możliwości publikacji. Powołamy przy naszym oddziale Klub Literacki. Dawne Koła Młodych przy oddziałach byłego Związku już się przeżyły — potrzebna jest nowa formuła działania. Ale pewne doświadczenia z ich pracy przejmiemy, przy opracowywaniu regulaminu tego klubu, a może tych klubów, bo w razie potrzeby możemy utworzyć taki klub nie tylko w Rzeszowie, ale także w pozostałych województwach regionu.

Przedostatni Zarząd byłego oddziału bardzo żywo interesował się budową Domu Pracy Twórczej im. Wilhelma Macha w Kamionce. Ja towarzyszyłem tej budowie przez cały czas nawet wtedy, gdy Związek był zawieszony. Zebraliśmy już dużo pamiątek po Wilhelmie Machu. Teraz chcemy doprowadzić do wyposażenia istniejących tam pokojów gościnnych, by nasi koledzy mogli tam przyjeżdżać i pisać w sprzyjających warunkach. Pragniemy, by ten obiekt częściowo działał jako ośrodek kulturalny, a częściowo jako dom pracy twórczej. Z tą myślą budowano tę placówkę.

Chcemy także spotkać się z kierownictwem oddziału KAW w Rzeszowie i ustalić formy współpracy Związku z tym zasłużonym dla środowiska edytorem i zorientować się w możliwościach wydawniczych. Nie mamy, niestety, lokalu, a potrzebujemy go, by podjąć naszą pracę. Sądzę, że w najbliższym czasie ta sprawa zostanie korzystnie dla nas rozstrzygnięta.

— Życzę rzeszowskiemu Oddziałowi ZLP spełnienia wszystkich zamierzeń, a Tobie, jako prezesowi Zarządu, sprzyjającej atmosfery dla niełatwych działań.

Rozmawiał: JAN GRYGIEL

TRYBUNA NAUCZYCIELSKA ▼ TRYBUNA NAUCZYCIELSKA

Adam Łazar

O SPECJALIZACJI W NAUCZYCIELSTWIE SŁÓW KILKA

Z dużym zainteresowaniem przeczytałem artykuł Haliny Szypulskiej „Lepszy — co to naprawdę znaczy"? („Widnokrąg" nr 41 z 11 X 1983 r.). Dotyczy on stopni specjalizacji zawodowej nauczycieli. Temat ten zyskał powszechne zainteresowanie nauczycieli, ale i wywołuje emocje a nawet krytykę. Pragnę wyrazić swój pogląd.

DEGRADACJA CZY AWANS?

— Ukończyłam wyższe studia, zdobyłam tytuł magisterski, 25 lat poświęcam się nauczaniu i wychowaniu, osiągnęłam kolejne stopnie nauczycielskiego wtajemniczenia, byłam nauczycielką dyplomowaną, później profesorką szkoły średniej, otrzymywałam przez kilka lat dodatek specjalny, przyznał mi nagrody kurator i minister i wszystko to się nie liczy przy zdobywaniu stopni specjalizacji. Zdegradowano mnie, powiem więcej, zdegradowano cały stan nauczycielski. Wszyscy mają teraz startować od zera. Wszyscy mogą zdobywać stopnie, i ci co mają 5 lat pracy i ci po trzydziestce, i ci co mają dorobek potwierdzony publikacjami i innymi opracowaniami świadczącymi, że się sami wyspecjalizowali i ci, co nic nie napisali, nie legitymują się żadnym dorobkiem nowatorskim. Wysoki stopień demokracji. Nie ma żadnych wyjątków. Nie skorzystam z tej szansy, a jeśli tak, to trochę później — zwierza mi się koleżanka w pociągu do Przemyśla.

Wiem, że podobnie myśli wielu nauczycieli. Osobiście mam inne zdanie. Podjęta decyzja odnośnie wprowadzenia stopni pozwala po raz pierwszy na poziomy awans w zawodzie. Dotychczas honorowano i wszystkim płacono jednakowo, liczyło się tylko wykształcenie i staż pracy. Płacono równo mimo różnych wyników pracy, różnej jakości. Stopnie staną się elementem pozytywnego współzawodnictwa, zdrowej rywalizacji, szansą równania w górę. Ich cenny walor polega na tym, że tę wspinaczkę w górę wyznaczał będzie sobie sam nauczyciel, bez nacisku administracyjnego, bez terminów. Stopień specjalizacji to dla nauczyciela dostrzeżenie jego inności, a zarazem uznanie jego wysiłku, uznanie za to, czego już dokonał. Są realnym sposobem satysfakcjonowania tych, którzy kosztem czasu wolnego i niemałym wysiłkiem doskonalą swój warsztat pracy i osiągają ponadprzeciętne zawodowe sukcesy. Wreszcie w górę idzie cena wiedzy, zdolności i pracowitość. Są więc szanse na postęp w oświacie, na podniesienie prestiżu zawodu nauczycielskiego, a nawet i szkoły. Szansy tej nie wolno zaprzepaścić.

ROZWIEWAĆ WĄTPLIWOŚCI, PRZEŁAMYWAĆ BARIERY

Koncepcja zawarta w akcie prawnym resortu oświaty, to dopiero połowa sukcesu. Druga nie mniej ważna zależeć będzie od wykonawców. Z wdrażaniem tej słusznej koncepcji jest kiepsko. Od wydania zarządzenia ministra upłynęło 15 miesięcy i do dziś nikt nie uzyskał dyplomu specjalisty. Nie wpłynęło też dużo podań od nauczycieli. Nie chcą startować w ciemno. Chcą mieć jasną sytuację. Pytają dyrektorów szkół, inspektorów oświaty i wychowania o składy komisji egzaminacyjnych, o wymaganą literaturę z psychologii, pedagogiki, metodyki przedmiotu, proszą o interpretację zarządzenia, bo w wielu paragrafach jest ono niejasne. Ministerstwo na bieżąco nie wyjaśnia wątpliwości, zbiera opinie a czas płynie. By być sprawiedliwym dodam, że trochę informacji udzielili nauczycielom metodycy przedmiotowi na konferencjach metodycznych. Wszystko to za mało. Informacja musi być pełna. Winna się znaleźć u gminnych dyrektorów szkół i inspektorów oświaty i wychowania. Sceptycy twierdzą, że słuszna idea zostanie utopiona w morzu formalnych wymogów, padnie ofiarą partackiego wykonania, zginie w trybach biurokratycznej machiny. Za dużo jest troski o formę, za mało dbałości o treść. Nie wolno tej opinii ulegać.

Drugą barierę postawili sobie sami nauczyciele. Barierę psychologiczną. Boją się egzaminu. To ich odstrasza. Jawią się nawet pomysły, by długoletnich i doświadczonych pedagogów zwolnić od egzaminów. Tę myśl popierała moja rozmówczyni z pociągu. — Jakoś niehonor po tylu latach pracy poddać się sprawdzeniu wiadomości i umiejętności. A jeśli egzamin nie wyjdzie to upadek prestiżu nauczycielskiego. Tyle lat miało się opinię dobrej i nagle „oblany" egzamin. Wstyd.

Mam odmienny pogląd. Nie jestem za zwalnianiem z egzaminu. Przyznawanie stopni zaocznie, przez radę pedagogiczną, czy organ administracji szkolnej spotkałoby się z krytyką samego środowiska nauczycielskiego, które kiedyś krytykowało sposób przyznawania dodatków specjalnych. Budziłoby podejrzenie o „plecy", kumoterstwo lub inne machinacje. Jeśli się chce coś w życiu osiągnąć potrzeba przezwyciężyć lęk. W przełamaniu tej bariery winni pomóc przełożeni, nauczyciele — metodycy, a także komisje specjalistyczne oceniające sposób prowadzenia przez nauczyciela lekcji czy zajęcia, jego warsztat pracy i zdobyte osiągnięcia. Istotny jest również skład wojewódzkich komisji egzaminacyjnych. Trzeba by znaleźli się w niej wysokiej klasy specjaliści, mający na swoim koncie określony dorobek naukowy i to nie teoretyczny ale praktyczny. Chodzi o to, by nie byli to ludzie przypadkowi, nie mający wiedzy i doświadczenia. Egzamin, a raczej rozmowa egzaminacyjna, powinna być okazją wykazania się przez zdającego możliwościami spożytkowania zdobytej wiedzy dla celów realizacyjnych i interpretacyjnych, jako wzajemne utwierdzenie się w przekonaniu o wysokich sprawnościach i umiejętnościach pedagogicznych i wychowawczych.

Jest trzeci jeszcze aspekt zagadnienia. To upowszechnienie doświadczeń nauczycieli-specjalistów, by z ich dorobku korzystali mniej doświadczeni, szukający dróg dotarcia do serc i umysłów młodzieży. Opracowane przez nich wzorcowe konspekty lekcyjne, nowatorskie rozwiązania metodyczne, wygłoszone odczyty, skonstruowane pomoce naukowe powinny być rozpowszechnione w czasopismach metodycznych, w podręcznikach, biuletynach wydawanych przez rady postępu pedagogicznego. Uważam również, że zwiększeniu winien ulec dodatek specjalistyczny. 700 zł przy aktualnym wzroście cen nie jest wystarczającym bodźcem materialnym.

Decyzja o wprowadzeniu dodatków specjalistycznych jest trafną inwestycją w oświacie. Metodą tą możemy zrewolucjonizować styl pracy szkół. Działać więc musimy szybko, sprawnie i zgodnie z duchem idei.

* * *

W lipcu 1983 roku resort oświaty i wychowania określił zasady i warunki oraz tryb uzyskiwania przez nauczycieli i wychowawców wszystkich specjalności stopni specjalizacji zawodowej. Od początku września br. zarządzenie weszło w życie i od tego momentu zainteresowani nauczyciele rozpoczęli przygotowania do zdobywania owych stopni.

Przypomnijmy, iż o pierwszy stopień specjalizacji może się ubiegać nauczyciel mianowany z co najmniej 5-letnim stażem pracy pedagogicznej, wyróżniającą oceną pracy, czynnym udziale w doskonaleniu zawodowym (kursy, studia przedmiotowo-metodyczne), wyróżniającą oceną z dwóch wizytowanych komisyjnie zajęć z uczniami oraz złożonym pozytywnie egzaminem specjalistycznym.

Na drugi stopień wymagane jest ukończenie studiów magisterskich, podyplomowych, 12 lat praktyki oraz spełnienie innych warunków wymienionych wyżej.

Nauczyciel ubiegający się o trzeci stopień specjalizacji zawodowej musi posiadać ponadto 18 lat praktyki, upowszechniać swe doświadczenia i wiedzę (m. in. odczyty pedagogiczne, artykuły metodyczne, podręczniki). Tak jest w okresie przejściowym, natomiast później, po 6 latach warunkiem ubiegania się o stopień wyższy będzie uprzednie posiadania niższego stopnia specjalizacji.

Aktualnie w terenowych placówkach Instytutu Kształcenia Nauczycieli działają komisje kwalifikacyjne i zespoły specjalistyczne. Przewiduje się, że na terenie czterech województw objętych opieką Oddziału Doskonalenia Nauczycieli IKN w Rzeszowie — krośnieńskiego, przemyskiego, rzeszowskiego i tarnobrzeskiego zespoły specjalistyczne przeprowadzą pierwsze wizytacje zajęć nauczycieli w miesiącach grudniu—styczniu, a egzaminy specjalistyczne nauczyciele złożą najpóźniej do końca kwietnia 1984 r. Tak więc już za parę miesięcy najlepsi wychowawcy legitymować się będą — podobnie jak to jest w niektórych innych zawodach — dyplomami specjalizacji zawodowej.

Warto dodać, że w rzeszowskim ODN—IKN organizuje się ostatnio z zainteresowanymi nauczycielami poszczególnych specjalności konsultacje zespołowe, w czasie których omawia się treści wymagań na egzaminie specjalistycznym, literaturę oraz uzgadnia sprawy formalne i organizacyjne.

1 XII 1983 r. Dominik Żrebiec

Nowe zadania przed Towarzystwem Rzeszowskiego Ośrodka Akademickiego

Od 13 lat działa Towarzystwo Rzeszowskiego Ośrodka Akademickiego (noszącego przez pierwsze 3 lata nazwę Towarzystwa Rozwoju Rzeszowskiego Ośrodka Uniwersyteckiego), pomagające wydatnie rzeszowskim wyższym uczelniom w poprawie ich bazy lokalowej, w doskonaleniu działań naukowych i dydaktycznych.

III Walne Zgromadzenie Towarzystwa, które obradowało wczoraj w Rzeszowie, podsumowało miniona kadencję. Sprawozdanie ustępującego Zarządu przedstawił jego przewodniczący **Bronisław Błażej**, wskazując na niewątpliwy dorobek Towarzystwa, jak i na pewne niedociągnięcia. Spowodowane one zostały po części przez nowy podział administracyjny kraju, ograniczający zasięg działania TROK. Starania o rozszerzenie kompetencji na trzy nowe województwa naszego regionu nie przyniosły rezultatu. W roku 1982, na skutek wprowadzenia stanu wojennego działalność Towarzystwa została zawieszona. Mimo tych ograniczeń, Towarzystwo może odnotować szereg osiągnięć.

Towarzystwo miało też na uwadze perspektywy utworzenia w Rzeszowie uniwersytetu. Już w roku 1974 opracowano z inicjatywy Towarzystwa koncepcję powołania takiej uczelni. Ostatnio sprawy te rozpatrywała Egzekutywa KW PZPR w Rzeszowie. Były one też przedmiotem środowiskowego kolegium rektorów z udziałem I sekretarzy województw: krośnieńskiego, przemyskiego, rzeszowskiego i tarnobrzeskiego.

Na temat przedstawionych w sprawozdaniu problemów wywiązała się następnie ożywiona dyskusja. Zabierający głos oceniali wnikliwie ostatnie dziesięciolecie działalności Towarzystwa, dawali wyraz troski o dalszy rozwój rzeszowskiego ośrodka akademickiego, który widzą przede wszystkim w podjęciu zintegrowanych działań na rzecz utworzenia w Rzeszowie uniwersytetu.

Walne zgromadzenie wybrało nowy zarząd Towarzystwa, komisję rewizyjną i sąd koleżeński. Przewodniczącym zarządu wybrany został wojewoda rzeszowski **Henryk Ficek**.

W podjętych uchwałach postanowiono m. in. dokonać w statucie zmianę, rozszerzającą działalność Towarzystwa także na województwa: krośnieńskie, przemyskie, tarnobrzeskie, tarnowskie i nowosądeckie, z których również rekrutują się studenci rzeszowskich uczelni oraz skupić wysiłek Towarzystwa na wielokierunkowych przygotowaniach do powołania uniwersytetu.

Na Walnym Zgromadzeniu obecni byli wicewojewoda rzeszowski **Jerzy Szeremeta**, kierownik Wydziału Nauki, Oświaty i Kultury KW PZPR w Rzeszowie **Adam Rauch**, przedstawiciele władz wojewódzkich naszego regionu.

(zk)

BAZA DLA FILII

Na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym organizacji partyjnej w Filii UMCS w Rzeszowie najwięcej mówiono o dotkliwym braku pomieszczeń dla uczelni. W ciągu minionych lat ilość studentów zwiększyła się około pięciokrotnie, natomiast baza pozostała niezmieniona. Doszło do tego, że trzeba było ostatnio szatnię przeznaczyć na bibliotekę, a zajęcia odbywają się także w pomieszczeniach wynajmowanych w mieście. W przyszłym roku będzie jeszcze trudniej, ponieważ w wyniku przedłużenia studiów nie odejdą studenci lat piątych, przyjdą natomiast, jak zawsze, studenci roku pierwszego.

W dyskusji mówiono o kilku wariantach budowania najbardziej niezbędnych pomieszczeń: o przejęciu i rozbudowie budynku przy ul. Grunwaldzkiej oraz o budowie nawilonu bibliotecznego. Towarzyszyła temu gorzka refleksja, że w latach bardziej sprzyjających inwestycjom ówczesne władze uczelni nie zadbały o rozwój bazy lokalowej. Obecnie trudno spodziewać się wielkich inwestycji i nie na nich Filia może opierać swój rozwój. W dyskusji wyprowadzano stąd generalny wniosek, że decydujące znaczenie będzie miała aktywność kadry naukowej i studentów. Powinna się ona przejawiać wielorako, także w wychodzeniu uczelni na zewnątrz: na przykład poprzez odczyty czy wydawnictwa uczelniane. Taka aktywność powinna wręcz wymuszać rozwój uczelni, wykazywać konieczność jej rozwoju.

Miniona kadencja nie była jednak okresem wysokiej aktywności organizacji partyjnej w Filii UMCS. Liczebność organizacji zmniejszyła się o połowę, zebrania odbywały się przy niskiej frekwencji i zawiodła koncepcja zastąpienia szkolenia partyjnego działalnością klubu myśli politycznej. Nie zwracano też należytej uwagi na zadania partyjne. Zaważyło to na wynikach wyborów. W nowej egzekutywie znalazła się tylko jedna osoba ze składu poprzedniej egzekutywy: dotychczasowy I sekretarz dr Jerzy Posłuszny, który otrzymał w wyborach największą ilość głosów i powierzono mu ponownie obowiązki I sekretarza.

Sporo miejsca w dyskusji zajęło współdziałanie organizacji partyjnej ze związkami zawodowym i organizacjami studenckimi. W okresie do 13 grudnia 1981 r. uczelniana „Solidarność" zachowywała się rozważnie, uchylała się od narzucanych odgórnie strajków i współpracowała z ZNP. Spośród organizacji studenckich na wyróżnienie w tym okresie zasługuje działalność Studenckiego Kręgu Instruktorskiego ZHP. Aktualnie w Filii UMCS działają: ZSP, ZMW, ZHP, powstaje ZSMP. Jako pierwszy w środowisku rzeszowskim rozpoczął działalność samorząd studencki. Istnieje zatem możliwość zróżnicowych form aktywności. (wf)

NA EKRANACH

PRZEKLĘTA ZIEMIA

Czekała podejmuje — w przeciwieństwie do wielu — problemy, które nie rażą swą doraźnością czy „przypisaniem" do miejsca, w którym zajśniały: są to problemy powstające w wyniku zderzenia różnych mentalności, odmiennych kultur, zagrożenia stworzonych na osobisty użytek pojęć własnej wolności. Uniwersalizm ten podkreślony zostaje oryginalną formą, bowiem reżysera-plastyka, zdobywcę wielu cennych nagród za twórczość w dziedzinie animacji, cechuje znakomite wyczucie filmowej materii.

W jego pierwszym filmie fabularnym — „Zofii" (1976) — zwraca uwagę utrzymana w wyraźnie innej poetyce niż pozostała część utworu sugestywna sekwencja koncertu Czesława Niemena w domu starców. Scena ta ujawnia fascynację reżysera muzyką współczesną — i to fascynację połączoną z rzadko w praktyce polskiej kinematografii spotykaną umiejętnością przekazywania muzyki za pośrednictwem obrazu. Trzeci film Czekały — zatytułowany „Przeklęta ziemia" — otwierają ujęcia nie mniej efektowne. I choć zasady eksponowania wykonawczyni (Hanna Banaszek) i samej melodii pozostały takie same, tym razem piosenka nie spełnia roli kontrapunktu, ale stanowi integralną część fabuły. Tematem tego obrazu jest bowiem proces twórczego dojrzewania i problem kulturalnego awansu mieszkańców wsi, przedstawiony na przykładzie dwóch muzyków z chłopskich rodzin podążających różnymi drogami do sukcesu i satysfakcji.

Jan, którego życie śledzimy od wczesnej młodości, poddaje się miastu, do którego przyszedł, ulega wpływom środowiska, w jakie wszedł. Zadowala go sukces doczesny, wymierny w dobrach materialnych: pracuje jako kawiarniany pianista stopniowo zapominając o źródłach inspiracji, dzięki której wybrał taką a nie inną drogę życiową. Niezauważenie dla samego siebie zatraca sens życia, a wstrząs, jakim jest wiadomość o śmierci matki niewiele zmienia: po chwili refleksji Jan wróci do swego dotychczasowego życia.

Inaczej potoczyły się losy Pawła. Poznajemy go jako nieudanego studenta konserwatorium, który nie potrafi podporządkować się rygorom programu nauczania. Mimo niepowodzeń na uczelni odnosi międzynarodowy sukces, zdobywa nowe możliwości kształcenia się. I w tym momencie trafia na barierę ludzkiej zawiści: gdy z chłopskim uporem, manifestując swoją inność, dążył do niewiadomego celu, był co najwyżej śmieszny, ale gdy stanął u progu sukcesu — okazał się niebezpieczny. Bezpardonowy odpór dany młodemu artyście był zbyt silny. Dotychczasowi przeciwnicy możliwie najpełniej zdyskontowali jego osiągnięcia, a następnie — równie gorliwie — postarali się, by pamięć o nim szybko wygasła. Podobnie jak w poprzednich filmach, Ryszard Czekała zadbał o wizualną stronę swego dzieła. Obok wspomnianych już sekwencji, w których główną rolę odgrywa muzyka, szczególną uwagę zwracają sceny rozgrywające się na polu. Niektóre z ujęć przywołują na myśl oryginalne w formie filmy animowane Czekały. Autorem zdjęć do „Przeklętej ziemi" jest Stefan Pindelski. Reżyseria: Ryszard CZEKAŁA. W filmie wystąpili: **Jan Jurewicz, Paweł Paradowski, Franciszek Mula, Maria Zydorek-Probosz, Hanna Banaszak, Tomasz Zaliwski, Anna Milewska, Zdzisław Kozień, Leon Niemczyk** i inni.

J. Ł.

PRZED OGÓLNOPOLSKIM PRZEGLĄDEM PIOSENKI MŁODZIEŻOWEJ

W naszym regionie rozpoczęły się wojewódzkie eliminacje Ogólnopolskiego Przeglądu Piosenki Młodzieżowej. W ubiegłą niedzielę impreza taka, zorganizowana staraniem zarządu Wojewódzkiego ZSMP oraz Wojewódzkiego Domu Kultury odbyła się w Tarnobrzegu. Wystąpiło w niej 7 zespołów i solistów wyłonionych spośród 25, jakie występowały podczas eliminacji rejonowych zorganizowanych w Skopaniu, Opatowie, Stalowej Woli i Janowie Lubelskim. Postawienie stosunkowo wysokich wymagań wykonawcom właśnie podczas eliminacji rejonowych sprawiło, że poziom tarnobrzeskich eliminacji wojewódzkich był wyrównany. Młodzi muzykujący amatorzy pozostawili po sobie dość dobre wrażenie. Nie znaczy to, że ustrzegli się od grzechów głównych charakterystycznych dla tego gatunku. Twórczość własna, tak rozpowszechniona przez zespoły rockowe, nie zawsze sprawdza się w amatorskim wydaniu. Rodzą się zastrzeżenia w stosunku do tekstów. Jest sporo nieporadności w warstwie muzycznej prezentowanych piosenek. Uwydatniają się braki aranżacyjne, pomysłowości, stopniowania napięć, stosowania kontrastów, pomieszania stylistycznego. Rażą momentami wady dykcyjne. W wielu przypadkach można powiedzieć: wszystko już było... Widać natomiast poprawę w ogólnym brzmieniu zespołów, co jest bez wątpienia zasługą wieloletniej pracy z nimi w tym zakresie placówek kulturalnych. Na plus tegorocznym eliminacjom należy przypisać fakt, że — wprawdzie na razie nieśmiało — pojawiają się wykonawcy śpiewający także i inne gatunki, że — przełamawszy strach przed dominacją rocka — zaczęli np. piosenkarze przy akompaniamencie klasycznej gitary. Niedzielne eliminacje miały jeszcze jedną zaletę: występy poszczególnych wykonawców odbyły się bez ogłuszającego zazwyczaj przy takich okazjach łomotu, do czego walnie przyczynił się nagłaśniający całą imprezę akustyk.

Jak wiadomo, celem wojewódzkich eliminacji jest wyłonienie reprezentantów województwa na eliminacje strefowe, które odbędą się w Tarnowie w drugiej połowie stycznia roku przyszłego. W Tarnobrzegu jury zakwalifikowało na te eliminacje zespoły: „EXIT" z WDK w Tarnobrzegu, „WERSJA A" z Hot Klubu w Stalowej Woli oraz „SAGITARIUS" z DK w Nowej Dębie.

Również w woj. rzeszowskim dobiegły końca przeglądy rejonowe, natomiast wojewódzkie eliminacje Ogólnopolskiego Przeglądu Piosenki Młodzieżowej odbędą się w najbliższą niedzielę w WDK w Rzeszowie.

W ubiegłą natomiast niedzielę, w RCK w Mielcu, odbył się II Przegląd Zespołów Muzycznych i Solistów „Złoty Sęk '83" — będący jednocześnie przeglądem rejonowym. W imprezie wystąpili wykonawcy poezji śpiewanej, zespoły rockowe i country wzgl. wykonujące muzykę zbliżoną do tych gatunków oraz zespół kabaretowy — w sumie 18. Główną nagrodę przeglądu jury przyznało Zbigniewowi Maniakowi z Mielca. Nagrodzono również grupę rockową „Taurus", zespół OPW „Cantabile" oraz Marka Kiełbasę. Ci właśnie wykonawcy a także Bożena Durak wystąpią podczas wojewódzkich eliminacji w Rzeszowie.

jedyn

wiadomości samowolne

(TYLKO DLA DOROSŁYCH)

(DOKOŃCZENIE)

Tak zwany chochlik drukarski, na którego zwala się winę, ilekroć puszcza się w gazecie jakiś błąd, dotknął i naszych „WS". Niezrozumiały splot wydarzeń sprawił, iż w poprzednim naszym (sekserotycznym) wydaniu zabrakło miejsca, choć było przewidziane, na „posłowie", które brzmiało: „Sądzimy, że zapełniliśmy lukę i przyszliśmy w sukurs. Liczymy też, iż „Wiadomości Samowolne" przyczynią się do powiększenia czytelnictwa nie tylko cytowanych czasopism, ale naszych „WS" także."

Było też „hasło tygodnia": — „Postępujmy seksownie wobec bliźnich. Jest to miła forma współżycia z otoczeniem."

Pomieszczone przed tygodniem cytaty z czasopism bądź co bądź centralnych spowodowały kilka telefonów. Telefonujący dawali wyraz swemu oburzeniu, iż dopuszczono do przedrukowania takich „świństw". Cóż, rozmówcy przeczytali widać wyłącznie owe „świństwa", pomijając komentarze i w ogóle nie rozumiejąc o o co chodzi. Trudno. Poprawiamy się, o czym oburzeni mogą przekonać się natychmiast.

SZCZĘŚLIWI RODZICE

Jak się dowiadujemy, państwo Roswita i Emanuel W. zbudzeni zostali wczoraj o świcie głośnym stukaniem w szybę jednego z okien ich M-3. Kiedy pan Emanuel wstał podszedł do okna i odsunął zasłonę, zobaczył, iż na parapecie siedzi bocian, trzymający w dziobie zawiniątko, z którego dochodziło ciche kwilenie. Po otwarciu okna i rozwinięciu zawiniątka okazało się, iż dzięki ofiarności bociana rodzina państwa W. powiększyła się o córeczkę. Dziecko i bocian czują się dobrze. Gratulujemy.

OŚWIADCZYNY

Do państwa F. zgłosił się młody człowiek w zbroi rycerskiej o opuszczonej przyłbicy i poprosił o rękę córki państwa F. — Imagny. Państwo F. wyrazili zgodę, po czym zaprowadzili młodzieńca do zakratowanego okienka, przez które Imagna podała mu swą rękę w gustownej rękawicy bokserskiej. Przypuszcza się, iż po okresie narzeczeństwa i ślubie młoda małżonka powierzy swemu oblubieńcowi rękę bez bokserskiej rękawicy.

UDANA RANDKA

Darzący się uczuciem 38-letnia Euzebia i 43-letni Donat spotkali się na kolejnej, 200 randce. Była to zarazem dwudziesta rocznica ich zaręczyn. Zakochani spędzili czule, intymne sam na sam. Towarzyszyły im jak zwykle: matka Euzebii i ciotka Donata, co sprzyjało wymianie wyznań miłosnych.

ZASKOCZENIE

Kwadratowych oczu dostał pan Apolinary A., kiedy nie zapukawszy przez roztargnienie do drzwi łazienki wszedł tamże i ujrzał swoją żonę w wannie. Po dwudziestu latach małżeństwa zorientował się, iż poślubiona mu Amelia różni się nieco od niego w budowie ciała.

PORADY DLA PRAGNĄCYCH MIEĆ DZIECI

Porada I.

„Była sobie pewnego razu kobieta, która bardzo, bardzo pragnęła mieć malutkie dziecko, ale nie wiedziała, skąd je wziąć. Poszła więc do starej czarownicy i powiedziała jej:

— Pragnęłabym z całego serca mieć małe dziecko, czy mogłabyś mi powiedzieć, skąd je mogę wziąć?

— Znajdziemy na to radę — powiedziała czarownica. — Masz tu ziarnko jęczmienia, nie z tego gatunku, który rośnie na chłopskim polu, ani z tego, który jedzą kury. Wsadź je do doniczki, zobaczysz, co z tego wyrośnie!

— Dziękuję ci — powiedziała kobieta i dała czarownicy dwanaście groszy. Potem poszła do domu, zasadziła ziarnko jęczmienia i natychmiast wyrósł duży, piękny kwiat, który wyglądał jak tulipan, ale płatki miał stulone, tak jak gdyby kwiat był jeszcze w pączku.

— Jakiż to piękny kwiat! — powiedziała kobieta i pocałowała śliczne, czerwone i żółte płatki. I w chwili, kiedy składała ten pocałunek, rozległ się jak gdyby wystrzał i kwiat otworzył się od razu. Był to prawdziwy tulipan, ale w środku kwiatu siedziała na zielonym słupku maleńka dziewczynka, śliczna i delikatna".

Porada II.

„Wszedłszy do izby, Dżeppetto wziął narzędzia i zaczął strugać pajaca... zabrał się na dobre do pracy i zrobił mu najpierw włosy, potem czoło, potem oczy. Gdy już wystrugał oczy, wyobraźcie sobie jego zdumienie, kiedy spostrzegł, że oczy poruszały się i przeszywały go na wskroś.

Widząc, że te oczy z drzewa patrzą na niego, Dżeppetto niemal się obraził i rzekł ze złością:

— Drewniane ślepie, czemu patrzycie na mnie;

Nikt nie odpowiedział. Zrobiwszy oczy, wystrugał mu nos; ale ten nos, ledwie wykończony, zaczął rosnąć i rósł, rósł, aż po kilku minutach wyrósł w nosisko ogromnej długości... Skończywszy nos, zrobił mu usta. Usta te nie były jeszcze gotowe, a już zaczęły się śmiać i pokpiwać sobie z niego.

— Przestań się śmiać! — huknął rozgniewany Dżeppetto, ale było to jak gdyby mówił do ściany. — Przestań się śmiać, powtarzam ci! — zaryczał groźnym głosem.

Wtedy usta przestały się śmiać, ale wysunęły język na całą długość. Nie chcąc zepsuć swojej roboty, Dżeppetto udał, że tego nie zauważył, i pracował dalej. Po ustach wystrugał mu brodę, potem szyję, barki, brzuszek, ramiona i ręce. Zaledwie ukończył ręce, Dżeppetto uczuł, że ktoś porywa mu z głowy perukę. Odwrócił się i cóż zobaczył? Ujrzał swoją żółtą perukę w rękach pajaca.

— Pinokio!... Oddaj mi w tej chwili moją perukę!

Ale Pinokio, zamiast oddać mu perukę, włożył ją sobie na głowę i pogrążył się w niej niemal w całości. Po tym zuchwałym i pełnym drwin figlu Dżeppetto posmutniał i stał się markotny, jak nigdy dotąd w życiu; zwracając się w końcu do Pinokia, powiedział: — Hultajski synku! Jeszcze nie jesteś wykończony, a już uchybiasz swojemu ojcu!..."

Porady, które zaczerpnęliśmy z „Calineczki" J. Ch. Andersena i „Pinokia" C. Collodiego, świadczą, że nie tylko bocianom zawdzięczamy swoje potomstwo. Czym chyba uspokoiliśmy oburzonych użytkowników telefonu i odzyskaliśmy dobre imię, bez którego można zostać posadzonym niemal o wszystko.

Zaspokoiwszy tedy gusty P. T. Oburzonych, życzymy im poczucia dobrze spełnionego obowiązku.

HASŁO TYGODNIA

Idźmy przez życie z zamkniętymi oczyma, albowiem to, czego nie widzimy — nie istnieje.

Redaguje

SERWACY POTULNY
z podzespołem

odnotowujemy...

KROSNO

W BWA otwarto wystawę rzeźby i medalierstwa Władysława Kandefera.

— ✻ —

W WDK zorganizowano ekspozycję akwarel Józefa Penara.

— ✻ —

W Muzeum Okręgowym można obejrzeć wystawę „Pradzieje regionu krośnieńskiego".

PRZEMYŚL

W Klubie „Piwnica" WDK odbyły się Mikołajki jazzowe. Wystąpiły zespoły Gold Wash Washboard, Beal Steet Band — Jam Session.

— ✻ —

W sali widowiskowej WDK wystąpił wojskowy zespół estradowy „Desant".

— ✻ —

W klubie MPiK otwarto wystawę rysunku i grafiki Edwarda Kmiecika.

— ✻ —

W WDK można obejrzeć malarstwo Anny Sagan.

RZESZÓW

W lokalu Rzeszowskiego Towarzystwa Fotograficznego otwarto wystawę jubileuszową Włodzimierza Kozły.

— ✻ —

W ODK „Gwarek" otwarto ekspozycję prac członków klubu fotoamatora pt. „Pamięć i zaduma".

— ✻ —

W kolejnym piątkowym koncercie w Filharmonii rzeszowskiej wystąpili: Kaja Dańczowska — skrzypce, Jolanta Czyż-Major — sopran. W programie S. Moryto — Brahms, Mozart. Dyrygował Andrzej Jakubowski.

TARNOBRZEG

W KMPiK zorganizowano „Kabaretowe figle zimowe" — imprezę dla dzieci. W jej programie były również filmy.

(tem)

SPROSTOWANIE

W wierszu Marii Nataszy Solarz, opublikowanym w „Widnokręgu" z dnia 6 XII br., zostały opuszczone dwa wersy. Fragment tego wiersza, zniekształconego w publikacji, winien brzmieć:

„...Ty podszedłeś do mnie
na gałęzi sosny
nie ma nic ważniejszego
od miłości
jakiego dokonałaś wyboru..."

Przepraszamy Autorkę wiersza i Czytelników.

Redakcja

Balanse i NIUANSE

SMUTEK NIERZETELNOŚCI

Zaledwie tydzień temu pewien krakowski podróżnik powierzył swoje refleksje z „prowincji" łamom „Życia Literackiego", a już w piątek, 9 bm., przeczytać mogliśmy w „Dzienniku Polskim" zwierzenia innego podróżnika.

W rozprawce pt. „Smutek umierającego miasteczka" pisze p. Ryszard Dzieszyński:

„w rzeszowskim środowisku literackim **Stanisław Gębala** był tajemniczą postacią. Nikt z członków tamtejszego Oddziału ZLP nie znał go, ani nie widział na oczy, a wielu z tej literackiej konfraterni było bardzo zdumionych, słysząc, że ktoś taki znajduje się w jej szeregach".

Stwierdzenie to jest czczym wymysłem p. Dzieszyńskiego, owocem jego bujnej wyobraźni. Ani jedno słowo nie odpowiada prawdzie.

Stanisław Stefan Gębala, mimo utraty wzroku podczas okupacji, nie zaprzestał do końca życia pracy twórczej i żywo interesował się działalnością rzeszowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, którego to Oddziału był w roku 1967 współzałożycielem. Dopóki stan zdrowia mu na to pozwalał, przyjeżdżał do Rzeszowa na zebrania Oddziału z mieszkającym wówczas w Tarnobrzegu Janem Łysakowskim, który zabierał go swoim samochodem. Później dość często odwiedzali go koledzy z Oddziału.

Bzdurą jest zatem twierdzenie, że był „tajemniczą postacią", i że nikt z członków Oddziału „nie znał go, ani nie widział na oczy". Ciekawe też, jakich to „wielu z tej literackiej konfraterni było bardzo zdumionych", że „ktoś taki" znajduje się w jej szeregach? Od iluż to ludzi uzyskał p. Dzieszyński taką informację?

Zwierza się dalej p. Dzieszyński:

„Będąc w Żabnie zapytałem o Gębalę. Wskazano mi zapadłą chałupinkę, ale jej właściciel nie bardzo chciał ze mną rozmawiać, tłumacząc, że choruje. Zapytałem go więc tylko, dlaczego zaprzestał pisania. Prawdę mówiąc, odpowiedź nasuwała się sama, chociaż znałem pisarzy niewidomych, którzy przy pomocy ludzi życzliwych radzili sobie z tym problemem. Na to on zagderał, że wcale nie przestał i nawet chciał mi pokazać swoje maszynopisy, ale mnie się spieszyło, więc obiecałem, że gdy będę wracał. Już nie wróciłem, bo samochód nie był mój, a gdy jechaliśmy z powrotem do Tarnobrzega, nie było nam po drodze. Więcej nie spotkałem Stanisława Gębali, a rok temu przeczytałem jego nekrolog..."

Cóż sądzić o tym fragmencie? Poza tym, że autor sam sobie przeczy, wystawia też sobie niezbyt dobre świadectwo.

Zapytał o Gębalę, dobrze. Ale skąd wiedział o jego istnieniu i miejscowości rodzinnej, skoro pisarza „nikt nie widział na oczy"? Okazuje się, że w Krakowie go znano, a w Rzeszowie nie! Zadał mu pytanie i z góry znał odpowiedź (chociaż znał pisarzy niewidomych itd.). Pisarz w odpowiedzi „zagderał" (cóż za wykwintne określenie!) i chciał pokazać maszynopisy... ale p. Dzieszyński „nie miał czasu". No, a później przestał się p. Dzieszyński interesować Stanisławem Gębalą...

Nasunęła się p. Dzieszyńskiemu wówczas odpowiedź „sama". Zdarza się. Obiecał powtórne odwiedziny, lecz obietnicy nie dotrzymał. Odjechał z „nasuniętą" odpowiedzią. A szkoda, bo gdyby nie zlekceważył pisarza, gdyby poświęcił mu trochę więcej czasu, a nie powiedział tylko „dzień dobry" i zapytał dlaczego nie pisze, dowiedziałby się zapewne, że Stanisław S. Gębala nie zaprzestał pisania, że potrafił doskonale pisać na maszynie, że korzystał z pomocy ludzi życzliwych, szczególnie zarządów Oddziału b. ZLP w Rzeszowie wszystkich kadencji. Dowiedziałby się, że pisarz otrzymał z ZG ZLP magnetofon, że interweniowano w jego sprawach rentowych, podatkowych i w sprawie obowiązkowych dostaw art. rolnych, że przyznawano mu na wniosek rzeszowskiego Oddziału ZLP stypendia i zapomogi, że jego głos słyszeć można było za pośrednictwem rozgłośni PR w Rzeszowie i czytać jego wypowiedzi na łamach „Widnokręgu", że publikowały go „Profile".

Tego się p. Dzieszyński z pozycji podróżnika nie swoim samochodem nie dowiedział. A pisarz zapewne czekał na jego powtórne odwiedziny, bo ciekaw był świata i ludzi...

Łza się w oku kręci, kiedy człowiek czyta, jaką to niespodzianką stała się dla p. Dzieszyńskiego powieść St. Gębali „Comber", wydana przez rzeszowski Oddział Krajowej Agencji Wydawniczej. Nie była to niespodzianka dla środowiska rzeszowskiego, ani dla nikogo, kto interesuje się twórczością literacką, bowiem bardzo dawno omówienie „Combru" i jego obszerny fragment ukazał się na łamach „Widnokręgu", dzięki udostępnieniu redakcji „Nowin" maszynopisu tej powieści przez KAW.

„Znaleźli się więc życzliwi ludzie, którzy mieli do niego większą cierpliwość. Maszynopis powieści dotarł do Rzeszowa" — obwieszcza p. Dzieszyński.

Otóż nie „znaleźli się", a po prostu byli. Właśnie ówczesne zarządy Oddziału b. ZLP, właśnie redakcja Oddziału Krajowej Agencji Wydawniczej. Życzliwi ludzie, którzy właściwie pojmowali służebną wobec pisarza rolę organizacji pisarskiej i wydawcy.

Dziwić się można p. Dzieszyńskiemu, który miał przecież swego czasu częste i bliskie kontakty z rzeszowskim środowiskiem pisarskim, iż tak powierzchownie i nieprawdziwie przedstawił stosunek tego środowiska do własnego kolegi.

Rzetelność powinna być jedną z naczelnych cech dziennikarza. P. Dzieszyński w tym wypadku odłożył tę cechę na bok. Widocznie przeszkadzała mu w ogłoszeniu tezy, jaką sobie wymyślił. Bezwiednie (chyba) przyznał się do lekceważącego potraktowania Stanisława Stefana Gębali i do swojej niewiedzy. Chciał błysnąć, no i błysnął: wprowadzeniem czytelników w błąd.

PASSUS

Listy do przyjaciela

Czy wiesz, Drogi, że Gałczyński miałby dziś 78 lat i mógłby być ciągle obok nas?

Czy zastanawiasz się, że gdy umierał miał dopiero 48 lat i z tego końcowe dojrzałe 14 lat przypadło na pół podzielone między wojnę, tułaczkę, powrót, a ostatnie siedem lat tylko na Polskę spokojną? A w tych ostatnich siedmiu przyszło mu mieszkać w Krakowie, Szczecinie, Warszawie i Praniu — w czterech odległych kątach Polski, wszędzie na chwilę, nigdy spokojnie? I z tych ostatnich siedmiu, ostatnia połowa — to było milczące potępienie ze strony tzw. środowiska?

Starszy od niego Iwaszkiewicz żył jeszcze ponad ćwierć wieku, a bez mała ćwierć wieku starsza Nałkowska przeżyła go o cały rok.

Mógłby więc być wśród nas jeszcze, gdyby nie serce; jakież to symptomatyczne u poety, że serce nie wytrzymało!

Czy przeczuwał, że niedużo tych lat przed nim, gdy wracał w 1946? Przecież to wtedy napisał:

Gdy mi wróżyli w Avinionie
wyszedł as trefl, gdy rzekła: Przełóż.
Zelgały karty. Do Eurydyki
wróciłem, prowincjonalny Orfeusz.

Jakby na przekór, wróciwszy, wybuchł śmiechem szalonym i zatrząsł Krakowem: Karakuliambro, Listy z Fiołkiem, Zielona Gęś: „wszystko nie takie, wszystko krzywe", mówili „przyjaźnie" dając do zrozumienia, że oto koniec poety.

Były do przyjęcia „Dwie flagi" — czerwona jak puchar wina i biała, jak śnieżna lawina — wtedy się płakało rzewnie i to było na miejscu, ale „śmierć inteligenta" czy „Hermenegilda Kociubińska" — to było szarganie świętości.

Gdy szli czwórkami do nieba żołnierze z Westerplatte, choć to nie była prawda — to było na miejscu, to był plaster na świeżą martyrologię, ale „gdy idiota idiocie podawał papier" — to było niepoważne i przeciw czasom, które od powagi pękały z hukiem jak żaba Konopnickiej, czyli Półpanek.

Szydził publicznie:

Przeziębiony. Apolityczny.
Nabolały. Nostalgiczny.
Drepce w żółko. Zagłada.

To inteligent.

Brat u Andersa,
szwagier w Paranie —
tęskniący niesłychanie;
mamusia w mamrze
tatunio tamże —
ach, gdzie to, gdzie to, kochanie?
To w pewnym kraju, bardzo daleko,
za siódmą górą i rzeką.

To ten sam rok 1947. I jakże to przeknąć w arystokratycznym Krakowie, na AB, Krupniczej i u Noworola, gdzie „uliczki jak sen kurzy", gdzie poeta sam wyzna, że „życie ukochał nazbyt", gdzie

golonka z wielkim chrzanem,
piwo pod fortepianem

i już kłania się Gabryelski, Przybyszewski oraz wszystkie nieszczęśliwe szatany Młodej Polski.

Więc o uliczkach, golonkach — to w dorożce zaczarowanej i na szyderstwo.

A w ciszy domu, pełen zastanowień tekst: „Jak tu prawdę o Polsce powiedzieć, gdy pióro mam takie zamglone i pajęczynę w kalamarzu? I w oczach kłamliwe mgły".

Dopiero w Praniu znalazł spokój, krasnoludki, kandelabry, koncerty ciemne jak wiatr w głazach, olsztyńskie lasy, barwę mokrej mięty, wrony na śniegu.

Tam też urodziła się Niobe — nieszczęsna rodzica, tam przywędrował Szopen ze swoją drobnostką w C-dur, tam zostawił rękawiczki i tam nenia Niobe zawodziła:

Co za no-o-o-c...

Stamtąd wysyłał Wita Stwosza do Norymbergi i znowu matka lamentowała:

Synku, niebo się chmurzy
Zasłonię cię od burzy.
Synku, w niebie wiatr wielki
Niech chodź do Norymbergi.

Tam za nim chodził Norwid „i ciągle się zastanawiał", tam siebie nazwał czeladnikiem u Kochanowskiego.

I tam najpiękniej wkładał muzykę w wiersz: C-dury szopenowskie, kantyczki barokowe i preludia Jana Sebastiana.

A gdy wracał do Warszawy, pod niebo zgiełkliwe, marzył:

Parę by tu wron postawić,
tak ze trzy, pośrodku jezdni,
poobracać je dziobami
ku sobie, na śniegu gwiezdnym.
Niech by stały. Wiatr niech wionie
wzdłuż i chmurą twarze zmienia.
Chciałbym te trzy łby wronie
ocalić od zapomnienia.

Ocalił.

Mówiliśmy Gałczyńskim na każdy temat: i nabolały, i apolityczny, i miłosny.

Kochaliśmy się, gubiąc parasolki i jajko roztłukując ładnie, kupowaliśmy srebrne konwalie i do dzbanuszka wchodził krasnoludek, na Floriańskiej nocą, w uliczce jak sen kurzy, klapały nam kopyta końskie i zza wieży Mariackiej leciał skrzydlaty pegaz, mówiliśmy „Euterpe, Klio i Talia" jak zaklęcie, puszczaliśmy aż do zdarcia tę płytę, którą nagrał głosem ciemnym, powolnym, skandując strofę saficką, alcejską z „Niobe" i zastanawialiśmy się, dzięki niemu, jak tu prawdę o Polsce powiedzieć, kiedy czasem pajęczyna w kalamarzu.

Był poetą naszej młodości, kiedy życie kochało się nazbyt.

Komu innemu w tamtych latach zadzwonił dzwon Zygmunta, gdy odszedł. Jemu dzwoniło ciężko srebro gwiazd w warkoczach nocy.

Czy nie ciężko to stwierdzić, Przyjacielu, że jeszcze mógłby być wśród nas, gdyby nie to serce, co nie wytrzymało?

I że to już trzydzieści lat upłynęło od ostatniego wiersza, a wiersz ciągle foremny i świeży, i w każdym siedzi krasnoludek.

KRYSTYNA